

Czesław Wyczechowski
ps. Rosomak

LIRA I STEN

WYDAWCA: TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ SŁOŃSKA „UNITIS VIRIBUS”
UL. PUSZKINA 44, 66-436 SŁOŃSK, TEL./FAX.+48957572445,
WWW.TPS-UNITISVIRIBUS.ORG.PL

REDAKCJA: MAŁGORZATA MAKSVMCZAK-ŻYŁA, HENRYK RADOWSKI
ILUSTRACJE I PROJEKT OKŁADKI: REGINA BARTEK

ZDJĘCIA ZE ZBIORÓW RODZINNYCH PAŃSTWA WYCZECHOWSKICH, PIETRZYŃSKICH,
KOSTRZEWSKICH I BARTKÓW, DOKUMENTY RODZINY WYCZECHOWSKICH

DZIĘKUJEMY FIRMIE ELJOT SP. Z O. O. Z RZEPINA
ZA POMOC W WYDANIU NINIEJSZEJ PUBLIKACJI.

ISBN: 978-83-934117-4-0

PRZYGOTOWANIE PUBLIKACJI: OFICyna WYDAWNICZA PEGAZ, WWW.EPEGAZ.PL

Mowa ludzka,
nawet ubrana w rymy poezji,
lecz niezrozumiała – jest tylko bełkotem.

Czesław Wyczekowski

WSPOMNIENIE O MOIM OJCU

Mój ojciec, Czesław Wyczechowski, urodził się 15 marca 1912 roku w Pruszkowie, z ojca Jana i matki Zofii z domu Zalewskiej. Miał troje rodzeństwa – siostrę Władysławę (urodzoną w 1904 roku) i dwóch braci: Wacława (urodzonego w 1900 roku) oraz Stefana (rocznik 1916).

W Pruszkowie skończył szkołę powszechną. W 1925 roku wyjechał na Wołyń do Sannik wraz z rodzicami i starszym bratem Wacławem, który tam otrzymał osadę wojskową za udział w wojnie z bolszewikami. Po ukończeniu klasy łacińskiej w gimnazjum w Ostrogu Wołyńskim ojciec pracował w urzędzie pocztowym. W marcu 1933 roku powołano go do służby wojskowej, którą pełnił do października 1934 roku w 13. Pułku Artylerii Lekkiej. Tam też ukończył kurs pirotechników. Dzięki zdobytym umiejętnościom po ukończeniu służby wojskowej pozostał w Warszawie. Pracował w wytwórni amunicji numer 2 w Rembertowie – jako brakarz i kontroler składnic amunicji. Od 1 września 1939 roku do kapitulacji miasta walczył w obronie Warszawy.

Młodszy brat ojca, Stefan, zaginął bez wieści na froncie wschodnim. Wacław, za udział w wojnie w 1920 roku i działalność w kontrywywiadzie, został aresztowany i umieszczony w obozie w Ostaszkwie, a następnie zamordowany przez NKWD w Twerze (lista katyńska numer 344). Reszta rodziny została wywieziona na Syberię, a stamtąd z Armią Andersa przedostała się do Persji.

Ojciec już w listopadzie 1939 roku wstąpił do Związku Walki Zbrojnej (późniejsza Armia Krajowa). Przybrał pseudonim „Rosomak”. W konspiracji prowadził szkolenia z zakresu pirotechniki, jakiś czas przebywał w Puszczy Kampinoskiej. Przez sześć miesięcy był dowódcą oddziału Sądu Podziemnego. Przed samym wybuchem Powstania Warszawskiego otrzymał przydział na Powiśle do zgrupowania „Klemens-Helena” (dowódca major, ps. „Krybar”) na dowódcę plutonu. Brał udział w szturmie na Uniwersytet Warszawski. Walczył na placówce Oboźna 1 do dnia jej zagłady, czyli do 9 września 1944 roku. Z liczącego sześćdziesięciu ludzi oddziału ocalało

trzech: mój ojciec, czyli „Rosomak”, a także „Trzmiel” i „Rola”. Kanałami przedostali się na Śródmieście i tam walczyli do końca Powstania. Po jego upadku ojciec dostał się do niewoli. Umieszczono go w obozie jenieckim w okolicach Drezna. Wiele jego wierszy dotyczy właśnie tych powstańczych przeżyć.

Po wyswobodzeniu z niewoli wrócił do ojczyzny. Ta jednak nie czekała z otwartymi ramionami na swojego żołnierza. Przyjaciel ojca, Stanisław Gogis, ps. „Wajdelota”, ostrzegł go, że jest poszukiwany przez komunistów. Wiedząc, że w Warszawie na pewno zostanie aresztowany, już następnego dnia ojciec wraz z przyjacielem Józefem Dłużniewskim, ps. „Rola”, pojechał na tereny zachodnie. Pieniądze na podróż dał mu Stanisław Gogis.

W ten sposób trafił do Słońska, gdzie spędził pozostałe lata swojego życia. Od marca 1946 do grudnia 1949 roku pracował w Nadleśnictwie Lemierzyce, potem w firmie „Pagedy” Rzepin, w spółdzielni „Postęp”, w latach 1957–1960 w Kostrzyńskiej Fabryce Celulozy i Papieru w Kostrzynie nad Odrą, a w latach 1960–62 w Gromadzkiej Radzie Narodowej w Słońsku. Ze wszystkich tych zakładów był zwalniany, gdy odmawiał wstąpienia do partii. W 1962 roku był współzałożycielem Kółka Rolniczego, w którym pracował jako księgowy do 1968 roku. Tego samego roku podjął pracę w tartaku w Słońsku – na stanowisku pomiarowego. Pracował w nim aż do przejścia na emeryturę w 1977 roku.

Przez Czerwony Krzyż odnalazł rodzinę: matkę i siostrę. Zamieszkały w Wielkiej Brytanii. Udało mu się je odwiedzić w 1958 roku. Wraz z synem Krzysztofem spędził z nimi dwa miesiące.

W 1947 roku ojciec poznał swoją przyszłą żonę, a naszą matkę – Kaziemierę Paulinę Joergen. Urodziła się we Lwowie 2 stycznia 1919 roku, a do Słońska przyjechała jako repatriantka wraz ze swoją siostrą Genowefą Andruszko. Owocem związku Czesława i Kazimiery było troje dzieci. Krzysztof Bogusław przyszedł na świat 16 lipca 1949 roku (nie żyje), Teresa Jadwiga urodziła się 15 lipca 1951 roku i ja, czyli Jerzy Tomasz, pojawiłem się 26 czerwca 1953 roku.

Ojciec zmarł 4 kwietnia 1980 roku w Torzymiu. Został pochowany na cmentarzu komunalnym w Słońsku.

Wiersze zaczął pisać dopiero w 1972 roku. Stanowiły zapis jego powstańczych i wojennych wspomnień, a także codziennych doświadczeń życia w komunistycznych realiach, które przecież były przyczyną tak wielu jego kłopotów.

W 1976 roku ojciec napisał wiersz „Sonnenburg-więzienie” i dał go więźniowi pracującemu w tartaku. Podczas kontroli w zakładzie karnym wiersz odnaleziono, następstwem czego była wizyta dwóch panów z SB. Skonfiskowano tomik, a ojciec kilkakrotnie musiał się stawiać w Komen-dzie Wojewódzkiej MO w Gorzowie Wielkopolskim. Na szczęście skonfiskowano tylko kopię. Oryginał w czasie odwiedzin wzięta z sobą do Anglii siostrzenica ojca, Stefania Borowy. W 2001 roku przywozłem go z powrotem do Polski.

Tomik ten oddaję dziś w Państwa ręce.

Tomasz Wyczechowski



Rodzina państwa Wyczechowskich, 1957 r.

Drodzy Czytelnicy!

Uprzejmi tak bądźcie,
przeczytajcie niniejsze
i sami osądźcie
moje skromne wiersze.

Wypowiecie się różnie o ich autorze:
wielu z Was powie – marny wierszokleta,
inni – maniak – powiedzą, a inni być może,
przeczytają, pomyślą i rzekną: ... poeta.

Czesław Wyczechowski

NA PRZYBIE OPOWIADANE



NA PRZYZBIE

Wieczorem se chłopy na przyzbie siadają
I różne różności tam opowiadają.
Jeden coś o Żydzie, inny o Cyganie,
Płynie, aż do późna wesote gadanie
I o czarownicach, i różnych zmorach
O starych owczarzach i mądrych znachorach.
Aż Mateusz stary, który dużo wiedział
Taką oto gadkę chłopom opowiedział:
Dawno pamiętam, było to w Lublinie,
Gdzie to moi ociec sprzedał kupcom świnie.
Grosiwo zebrali, dokładnie zrachował,
Zawiązali w szmatkę, do kieszeni schował.
Trzeba kupić nafty, smarówki do woza
No i dla kobyły kawatek powroza.
Lecz trudna to sprawa, moiście przyjemni,
Bo mój ociec stary nie byli piśmienni.
W mieście sklepów dużo, że aż można zgłupić
W którym z nich to można tą smarówkę kupić?
Chodzili se ociec, w sklepy zagłądali,
Lecz wszędzie ich kupcy wykpiłi, wyśmiali.
W jubilerskim sklepie trzech kupców siedziało
I tu stary ociec zachodzą se śmiało.
Pochwalony – mówią, potem się spytali
Czy by im smarówki kupcy nie sprzedali.
Zaśmieli się kupcy, na siebie zerkają
I kpiąc ze starego, tak odpowiadają:
Naftą, smarem, sznurem tu się nie handluje
To tylko w tym sklepie durniów się kupuje.
Pomyśleli ociec, w łeb się podrapali
I taką odpowiedź kupcom oto dali:
Widać, że się nieźle tutaj handlowało,
Że trzech takich ładnych na sprzedaż zostało.

*

*

*

I przy kufelku nie raz się wadzili.
Że Bóg Wojtkowi dowcipu nie skąpił,
Z takim gadaniem do Bartka przystąpił:
Mój kumie rzeczce; wiadomo to przecie,
Że latoś w zimie na pewno pomrecie.
Pogrzeb wam zrobię, nie martwcie się kumie,
I piękną truchłą też wystrugać umiem.
I na pagórku mogiłę wam zrobię,
Którą brzozowym krzyżikiem ozdobię.
Gdy na mogile już wyrośnie trawa,
To pójdzie pożryć ją tam moja krowa,
Podniesie ogon – nie dziw to jest przecie
I na oborze zrobi... to co wiecie.
A ja se stanę, dziwy będę czynił:

„W co też się Bartek, mój kumoter zmienił.”

Pomyślał Bartek, podrapał się w kłaki,
Na to Wojtkowi daje respons taki:
Różnie się plecie na tym bożym świecie,
Myślę, że kumie wy pierwy pomrrecie.
Ja wam galanty pogrzeb wtedy sprawię
I na mogile krzyżiczek postawię,
A gdy na grobie już wyrośnie trawa
to pójdzie ją tam pożryć moja krowa.
Podniesie ogon, nie dziw to jest przecie
I na oborze zrobi... to co wiecie.
A ja stanę, dziwy będę czynił:
„Że też kum Wojtek wcale się nie zmienił.”

*

*

*

Dzielny król Sobieski miał taką naturę,
Że się lubił przebrać w chłopa lub szlachciurę.
Przywdział kontusz stary, szabllicę przypasał
I poza Wilanów na koniu pohasał.
Pośród polnej drogi zobaczył z daleka
Jadącego konno z naprzeciwka człeka.
Czołem panie bracie! gromko go przywitał
I o cel podróży grzecznie go zapytał.
Mości panie bracie – tamten odpowiada,
To sprawa gardłowa. – Mam złego sąsiada,
Który już od dawna życie moje truje; –
O gruszę na miedzy wciąż mnie procesuje.
Trybunały twierdzą, że nie mam racji
I proces przegrałem w trzeciej instancji.
No i pozostało mi tyle wszystkiego,
Że się jadę oskarżyć do króla naszego.
A jak król nie zechce ratować cię z biedy,
To co mociumpanie bedziesz robił wtedy?
To mu powiem krótko, (niech tylko spróbuje)
Że niech mą kobyłę w ogon pocałuje.
I już potem więcej z sobą nie gadali
Każdy w swoją stronę dalej pojechali.
W królewskiej czekalni szlachcic grzecznie siedział,
Kiedy przyszedł woźny i głośno powiedział,
By się ów szlachciura jak najszybciej sprawił
I w kancelaryi przed królem postawił.
Wszedł szlachcic odważnie, lecz zbladły mu lica
Kiedy w królu poznał znanego szlachcica.
Król nań spojrzat groźnie i poruszył wąsem
I tak do szlachcica przemówił z przekąsem:
Nasz majestat waści odmawia racyi
I zatwierdza wyrok trzeciej instancji.
Sprawa załatwiona, obejrzana wszędzie,

No i mociumpanie, jak to teraz będzie?
Na to szlachcic odrzekł w straszliwym kłopotcie:
Cóż słowo się rzekło. – Kobyłka przy płocie.

* *
*

Tak chłopi na przyzbie pletli różne gadki
Różne opowieści i różne zagadki.
Wreszcie Maksym stary, który cicho siedział
Taką to historię chłopom opowiedział:
Ot panoczki moje, to historia stara,
Sięgająca czasów panowania cara.
W grudniu Mikołaja więc z tej to przyczyny
Obchodzono w Rosji carskie imieniny.
Z ikoną świętego w pochód wyruszano
I Boże chroń cara na głosy śpiewano,
A żulik pijanica nie wiedzieć dlaczego
Pobił mocno kijem ikonę świętego.
Pijanego żulika żandarmi schwycili
I w grodzkim więzieniu w celi zakluczyli.
A potem z guberni sędziowie przybyli
I jaką dać karę żuliku, radzili.
Bo za profanację carskiego patrona
Kara ma być sroga, dobrze obmyślona.
Więc Sybir, katorga, może kazamaty,
Powiesić pijanicę, czy potamać gnaty?
Tak to grono sędziów przez miesiąc dumało,
Lecz co wymyślili to wszystko za mało.
Siedzieli radzili, nic nie wydumali,
W końcu całą sprawę do cara wystali,
Niechaj car potężny, który światem rządzi
Sam wyznaczy karę, żulika osądzi.
Odetchnąwszy sobie, mile spoczywali
I na carski respons cierpliwie czekali.

Wreszcie przyszedł respons, i kto by powiedział?
Śmiech człowieka bierze, co car odpowiedział:
My car imperator piszemy ten ukaz
Do sędziów guberni i dajemy przykaz:
Niechaj więcej żulik się nie upiwaje,
A święty Mikołaj też niech się nie szlaje.

*

*

*

Ot panoczki, taka sprawa się zdarzyła
W ordynacie pana księcia Radziwiłła:
Do Nieświeża jeden podróżny zawitał
I o zatrudnienie na leśnictwie pytał.
Księżę go spotkawszy u zamkowej drogi
Spytał: Skąd prowadzą mociumpanie bogi?
A on odpowiada: Z Mazowsza wędruję
I pracy leśnika tutaj poszukuję.
Pracę znaleźć można, ale słuchy chodzą,
Że ponoć Mazury ślepymi się rodzą.
A na to ów Mazur długo nie dumając
Tak to odpowiedział księciu się kłaniając:
Ale kiedy przejrzą to wzrok taki mają,
Że kpa i przez deskę dębową poznają.
Księciu w gust przypadła Mazura fantazja,
Do pracy go przyjął. Aż przyszła okazja,
Że księżę pan obiad proszony ogłosił
I tego Mazura w pokoje zaprosił.
Gości było dużo, stoły postawiano
I na pierwsze danie zupełności dano.
Postawiono wazy, talerze, półmiski,
Ale Mazurowi nie podano łyżki.
A księżę zawołał: Prosimy, do kupy.
Ogłaszam, że kiep ten, który nie zje zupy.
Spostrzegł się Mazur, że honor ratować potrzeba

I nożem odkrajał przylepkę od chleba,
Wydłubał ośródek i w zupę powkładał
I skórka od chleba, jak łyżką zajadał.
A gdy już wysiorbał zupę ze swej miski
Żując skórkę krzyknął: Kiepsko, kto nie zje łyżki.

* * *

*

Wąż jeden gadzinka, z nory swej wyprysnął
I w tym to momencie kamień go przycisnął,
Że ruszyć do przodu ani w tył nie może,
Więc krzyczy: Ratunku! Niech mi kto pomoże!
Idący chłop słysząc żałosne skomlenia
Uwolnić gadzinkę od tego kamienia.
Wąż sobie poleżał i gdy już odpoczął,
Rzucił się na chłopca i dusić go począł,
Chłop mówi do niego: Za co ty mnie dusisz?
Przecież o wdzięczności ty coś wiedzieć musisz.
A wąż odpowiada: Niechaj trzy stworzenia
Rzekną, że nie jesteś godzien uduszenia.
Spytali się kundla, co przebiegał blisko,
Jakie by w tej sprawie zajął stanowisko.
Pies mówi: Duś drania, duś wężu mój druhu
On mnie też codziennie dusi na łańcuchu.
Spytali się konia, co się paść w Dąbrowie,
Czy udusić chłopaczynę? – niechaj powie.
Koń mówi: duś drania, duś wężu mój druhu
On batem mnie bije, więzi na łańcuchu.
Spytali się lisa, co w te strony zbłądził
Jakby on tą sprawę rzetelnie rozsądził?
Lis mówi: Mam myśl naprawdę genialną,
Musimy urządzić tu wizję lokalną.
Ty wężu złaż z chłopca i kładź się na ziemi,
Ty chłopie na węża nakładziesz kamieni,

Potem te kamienie z niego zrzucić musisz
A potem ty wężu chłopa sobie zdusisz.
Tak jak lis powiedział, tak też uczynili
I węża z powrotem głazem przydusili.
Gdy wąż pod ciężarem skamleć począł znów,
Lis mówi: Chodź chłopie, a wężu bądź zdrów!
Za taką przystugę chłop począł dziękować.
I przyrzekł lisowi dziewięć kur darować.
Przez dwa dni przynosił codziennie trzy kury,
Aż przyszło do wielkiej w domu awantury,
Bo baba ostatnich trzech kur mu nie dała
I lisa mężowi zastrzelić kazała.
Chłop nie chcąc mieć więcej w domu awantury,
Zastrzelił lisa i obdarł ze skóry.

SKRADZIONY PIORUN

Wśród bogiń Olimpu na złocistym tronie
Rozsiadł się Jowisz władca i bóg.
Ognisty piorun dzierżąc jego dłonie,
Którymi Tytanów on zmógł,
 I drżeli przed władcą ludzie i bogi
 O życie swe własne i dom,
 Na twarze padali wśród strachu i trwogi,
 Gdy z ręki Jowisza padł grom.

Na odgłos pioruna i duzi i mali
Zjeźdźali na skórach swych sierść
I prze siłą, co niszczy i pali,
I która zabija na śmierć.
 Aż władzę Jowisza wzięta pokusa
 Zabawić świat, ludzi i bogi,
 Spróbować produktów starego Bachusa
 I zapaść w nirwany stan błogi.

I opił się bóg stary, że aż nie do wiary,
Zachrapał i zwałił się z nóg,
A z nim Olimp cały ogarnęły mary,
Zasnęli. – Bo zasnął ich bóg.
 A wtedy grzesznicy, ziemscy elektrycy
 Pioruny z Olimpu zabrali,
 Na ziemię wrócili wśród nocnej ciemnicy
 I ludziom w prezencie je dali.

Gdzie były ciemności, tam błyszczą żarówki
Wesoły i jasny jest świat,
A piorun wprzęgnięty do ciężkiej harówki,
Dla ludzi pracuje od lat.
 Porusza motory, fabryki, traktory
 Korzysta zeń każdy dom,
 I służy on ludziom do pracy wciąż skory,
 Nie straszny Jowisza nam grom!

Gdy jesteś wieczorem na jasnej ulicy
Przy boku dziewczynę chcesz wieść,
Pamiętaj, że światło dali elektrycy,
Należną oddaj im cześć.

 A cóż na to Jowisz? – przebudził się wreszcie

 I spostrzegł, że jest bez broni...

 Podrapał się w brodę, przejęty go dreszcze

 I głowę swą oparł na dłoni.

A jasność niebytą ujrawszy na ziemi,

W zdumieniu dostrzegał ją wszędzie

I dumał dwie ręce złożywszy na skroni

I wyrzekł: Tak lepiej... – niech będzie.

ZEW KRWI

W azjatyckiej dżungli – dawniej to było

Niż stary Darwin przyszedł na świat,

Na baobabie dwoje małp żyło.

Dawno to temu... – miliony lat.

 Samiec był Faun, samica Flora

 Niezgodną życia plątali nić,

 Rodzić potomstwo Flora była skora

 Faun w tej sprawie nie znaczył nic.

Więc wzięła samca orangutana,

Potem szympansa, później goryla

Nic z tego wyszło. Zakłopotana

Legła, czekała. Aż przyszła chwila,

 Że ciąży przyszła niespodziewanie.

 Zdarzenie dziwne, prawdziwy cud,

 Cóż znaczy długie wyczekiwanie,

 Gdy już utrwalał jest małpi ród.

Lecz jakie było zdziwienie matki,

Kiedy potomstwo się urodziło,

Miał małpich kłaków gołe są dziatki,

Wstręt matkę bierze – patrzeć niemiło.

 Wszystko zwycięża miłość matczyna,

 Potomstwo swoje garnie na łono,

 Karmi swą piersią, pieścić zaczyna,

 Choć to nie małpy, lecz – sapiens homo.

I od tej pory wieki minęły

I całe ery, miliony lat...

Mutanty Flory się rozmnożyły

W mnogie miliardy. Zalały świat.

 I odmienili świata oblicze,

 Miał małpich gajów – beton i mur.

 Zniknęły dżungle, puszcze dziewicze,

 Powstały miasta – drapacze chmur.

Szły natury groźne, straszliwe
Do potrzeb własnych służyć zmusili
I prace trudne i uciążliwe
Siłom wykonać tym polecili.
 Gdy tajemnice ziemi zgnębili
 I utrwaliли swój byt rozumnie,
 Nazwę swą „Mutant” w „Człowiek” zmienili
 I rzekli: „Człowiek brzmi dumnie”.
Prawa rządzące światem poznali
I w kosmos rzucili rakiety
W których zdobywców swoich postali
By zdobyć inne planety.
 I wiedli by może życie szczęśliwe,
 Jak rajskej róży kwitnący krzew,
 Gdyby nie jakieś dźwięki tęskliwe
 W ich sercach – Krwi małpiej zew.
Rzekli: Do licha czapki i fraki!
Po co się golić i po co się myć?
Zapuśćmy brody, kudły i kłaki,
Bo chcemy wygodnie jak małpy żyć.
 Precz z światem z betonu i stali!
 My chcemy żyć sobie w zielonym gaiku.
 I w szale niemądrym świat podminowali,
 Którego los zawisł na małym guziku,
Przez nacisk, którego zwalnia się sprężynę
Wyzwalającą straszne grawitacji siły
Zdolne zamienić świat cały w perzynę
I życie zmienić w trupy i mogiły.
 Kudłacz-nudysta guzik ten nacisnął.
 Zatrzęsa się ziemia, wszystko w proch runęło,
 Grzmot straszny się rozległ i ogień zabłysnął...
 Potomstwo Flory na zawsze zginęło.

Po wiekach znów Flora na ziemię wróciła
I widząc kultury straszliwe zniszczenie,
Dumata dość długo, w końcu wymówiła:
Mane, Tekel, Fares – takie przeznaczenie?...
 Po co ich rodziłam i wychowywałam?
 Faun mi zarzucał słusznie wiarołomstwo,
 A jednak ja zawsze bardzo ich kochałam,
 Bo pomimo wszystko – matpie to potomstwo.

BALLADA O ZAMKU OSTROGSKIM

Wesoło hula rycerska drużyna,
Najtężsi w szrankach się wodzą.
To dzień urodzin książęcego syna
Wasyla obchodzą.

Rok osiemnasty Wasylu dały
Szczęśliwe, właśnie dziś, krainy.
Na zdrowie pije więc zamek cały
Radośnie śpiewa i tańczy.

Dokoła gwarnie, wszędzie wesoło,
Lecz czemu księżna chyli swe czoło?
Dlaczego księżna jest smutna?

Pani z Ostroga, księżna Tatiana
Piękne swe lica ma sumne...
Siedzi w komnacie smutna zadumana,
Nie dla niej zabawy szumne.

Ach droga maty, czemu sumujesz?

Udały Wasyl zapyta, –
Smutkiem swym naszą zabawę psujesz,
A we mnie coś płacze i zgrzyta.

Mój drogi synu, tak się zdarzyło...
(Historia nie bardzo stara)
Lat dziewiętnaście blisko minęło,
Gdym wpadła w jasyr Tatara.

Hańba okrutna, straszna zniewola
Twą matkę, synu, czekała
Nieszczęsną by była dziś nasza dola,
Gdyby opatrność tak chciała.

Niech będzie za to Bóg uwielbiony,
Któregom gorąco prosiła
Abyś nie został w niewoli zrodzony...
Bom ciebie w swym łonie nosiła.

Cud wtedy istny Bóg dobry sprawił,
Zesłał nam zbawcę rycerza,
Który nas z strasznej niewoli wybawił,
Potiańców pobił, porzezał.

W dom powróciłam z dwoma kozaki
Żywa i z dobrym zdrowiem,
Lecz kim był zbawca i kto on taki,
Dotychczas ja wcale nie wiem.

Stąd smutek trawi moje wnętrze
Serce me trwożnie uderza,
Bom nie spłaciła długu wdzięczności
Dla zbawcy mego rycerza.

Nie sumuj maty, nie turbuj głowy,
Udały Wasyl odpowie, –
Znaleźć rycerza jestem gotowy
I kim on zacz jest się dowiem.

Gdy go odzyskam, tobie ślubuję:
Druh on serdeczny mój będzie
I dług wdzięczności ja z nim skwituję,
Na pewno, maty, tak będzie.

Z Dzikich Pól wracał Witold, książ Litwy
Poprzez bractwskie stopy i jary
Zmordowany z zwycięskiej bitwy
W której pogromił Tatory.

Pojmał on jeńca, banitę Skirgiełłę.
Swego i króla polskiego wroga,
Wygonionego przez brata Jagiełłę
I wiódł go do grodu Ostroga.

Kiedy w najlepsze Wasyl się bawił
Obchodząc swe urodziny,
W murach Ostroga Witold się zjawił
Na czele zbrojnej drużyny.

W myśl zasad starej polskiej gościnności
Wasyl z Tatianą pospołu,
Chlebem i solą witają gości
I siadać proszą do stołu.

Dalej biesiada płynie wesolo
Śpiewają, jedzą i piją,
Gromkie wiwaty słysząc wokół:
Witold z Jagiełłą niech żyją!

Witold zabawą huczną zachwycony
Gościnność przyjmuje mile,
Winem rozgrzany, rozochocony
Urządzić chciał krotochwilę.

Więc cicho szepnął w ucho setnika
Mrużąc swe oko wesole,
By na biesiadę wwiódł buntownika,
Jeńca, banitę Skirgiełłę.

Brzęczy bandura, szumi zabawa,
Młódź tańczy rozhukana,
Kiedy na salę wkroczyła zjawa
Powrozy skrępowana.

Odzież jej zdarta i poplamiona
Na szyi powróż haniebny,
Głowa zraniona, twarz pokrwawiona,
Wzrok dumny, straszny i gniewny.

Pryśta wesolość, na nie biesiada...
W Skirgiełłę wszyscy wpatrzeni,
A z krzesła księżna Ostrogska pada,
Zemdlona leży na ziemi.

Już ją wynieśli, w łożu złożyli,
Ktoś załkał na sali rzewnie...
Rycerze ciągle w Skirgiełłę patrzyli,
A Witold tak mówił gniewnie:

Stoi przed wami cni biesiadnicy
Wróg obciążony przewiną srogą,
Godzien jest śmierci na szubienicy!
To mówiąc kopnął go nogą.

Śmierć go nie minie, moja w tym głowa
– Ukaran będzie przykładnie,
Gdy go odstawię w mury Krakowa,
Pod ciosem kata tam padnie.

Lecz nim nadejdzie śmierci jego chwila,
Lubi rycerze i męże,
Dam go w depozyt w ręce Wasyla,
W zamku ostrogskim uwięzę,
 Sam jutro ruszam, gdy spadnie rosa
 Ścigać swawolne plugastwo,
 Rozgromić bandę watażki Nosa,
 Zniszczyć niewierne kozactwo.

Przykaz ci daję, Wasylu miły,
I nakazuję surowo:
Pilnuj mi jeńca, ile masz siły,
Gdy zbiegnie – odpowiesz głową!
 Odjechał Witold w step szary głuchy
 I zniknął w тумannym prochu...
 Jeniec związany, skuty łańcuchy,
 Wtrącony został do lochu.

Wnet po biesiadzie przyszło zmęczenie,
Zamek ogarnął sen błogi.
Wasyla męczy senne marzenie,
Sen ma koszmarny, złowrogi...
 Nad jego łóżem postać stanęła
 W białej i zwiewnej szacie.
 Zimną mu ręką czoła dotknęła,
 Szept jej zaszemrał w komnacie:

Zbudź się Wasylu, synu jedyny,
To ja, twa matka tu stoję...
Chcę mówić z tobą w nocne godziny,
Bo za dnia mówić się boję.
 Złośliwe fatum, nieszczęście wielkie
 Nad nami, synu, zawisto,
 Które nadzieje niweczy wszelkie...
 Za co mi cierpieć tak przyszło?

Czy wiesz, Wasylu, czemu zemdlałam
Podczas wczorajszej zabawy? –
Ja w jeńcu zbawcę swego poznałam,
Co nas z jasyru wybawił.

Gdy puścim wolno zbawcę naszego,
Ciebie, mój drogi narażę,
Na straszną zemstę kniazia srogiego,
Który cię śmiercią pokarze...

Nic nie pomoże, kochana maty,
Nie zląknę się kniazia gniewu.
Raz się urodzić – raz umieraty,
Ja wierny zostanę słowu!

Zostać niewdzięcznym i honor splamić?
Do tego ja nie dopuszczę!
Zostać podlecem nie mogę za nie!
Ja druha dzisiaj wypuszczę.

Skirgiełto wolny odszedł w step szary,
Chęć zemsty niesie go sroga.
Niech drżą litewskie Witolda bojary,
Bo czeka ich zguba złowroga.

Gdy zdąży ostrzec Nosa atamana
O kniazia Witolda planie,
Kozaków czeka bitwy wygrana,
Witold pobiedzion zostanie.

W Ostrogu tymczasem Wasyl udały
Obronę grodu szykuje.
Ogląda mury, naprawia wały
Oręż do walki gotuje.

Nie zdążył – bo Witold tknięty porażką
Spotkawszy gotowość wroga,
Zaniechał sprawy z Nosem watażką,
Zawrócił do grodu Ostroga.

Jak stado wilków na gród Wasyla
Litwini natarli hurmem.
Rzezi i grozy nastąpiła chwila,
Gdy Ostróg zdobyli szturmem.

Witold Wasyla dopadł w komnacie
Rozsierzdion i gniewny wielce.
Giń zdrajco! – krzyknął, podły psu bracie!
I mieczem przebił mu serce.

Młodszy, Konstanty, małe pachole
I jego matka Tatiana
W litewską poszli do Wilna niewolę
Z rozkazu kniazia tyrana.

Konstanty później w księstwo powrócił,
Dzierżył je mocno swą dłońią.
Świetność Ostroga dawną przywrócił, –
Był wierny Orłu z Pogonią.

* * *

*

Zwiedzałem niegdyś zamek ostrogski,
I stare kroniki czytałem.
Odziany w szkolny mundur uczniowski
O dawnych dziejach dumałem.

Dziś w noc bezsenną muza mi śpiewała,
A ja jej pieśni słuchałem.
Te stare dzieje spisać mi kazała
Więc je postusznie spisałem.

PŁOMIEŃ ŻYCIA

Trudno Tomie, umieram, choć jestem bogaty,
Zostawić wszystko muszę i odejść w zaświaty.
A tak bym chciał żyć dalej, by dzieła dokonać,
Ludziom dać nieśmiertelność. Śmierć samą pokonać,
Niewzyciężonego dotychczas w dziejach życia wroga.
I na samą myśl o tym ogarnia mnie trwoga,
Że dzieła nie dokonałem... I umierać muszę.
Więc ty Tomie przysięgnij na swą własną duszę,
Że dopóki istnienia pod darami słońca,
Chlubne dzieło twych przodków dowiediesz do końca...
Poczekaj i powstrzymaj tve chęci gorące,
Wnet wszystkiego się dowiesz, gdy sprawę zakończę.
Przed czterema wiekami nasz przodek z Nebraski
Jim, był podróżnikiem na łądzie Alaski.
Szukał złota i przygód z gromadą traperów
Wśród skalistych i mroźnych zwałów Kordylierów.
Tam on pośród gór dzikich i groźnych lodowców
Odkrył z dawna żyjący naród jaskiniowców,
Do którego przypadkiem w gościnę zawinął
Żył z nimi przez czas jakiś i z ich ręki zginął.
Ale przedtem dokonał ważnego odkrycia,
Że mieszkańcy podziemi znają płomień życia,
Który takie własności cudowne zawiera,
Że kto przez niego przejdzie, nigdy nie umiera.
Jak już rzekłem, Jim przodek utracił tam życie,
Lecz przygody swe spisał w podróżnym zeszytce,
Który przyniósł ze sobą człek bardzo odważny
Towarzysz Jima przygód, Jimmowi przyjazny.
Zeszyt ten przez kilka pokoleń chroniony
Znajduje się w mym biurku, w skrytce położony.
Oto klucz od biurka. Nim skrytkę otworzysz,

Wyjmiesz zeszyt, przeczytasz, szczegółów się dowiesz,
A potem ruszaj w podróż przodka Jima śladem,
Odszukaj płomień życia, ten cudowny diadem,
Którego własnościami świat cały zadziwisz,
Zdobędziesz nieśmiertelność, ludzkość uszczęśliwisz.
A teraz, gdy wiesz wszystko, mój Tomie, mój synu
Przysięgnij, że przez Jima wszczętego ty dokonasz czynu.
Ja ostatniej minuty życia swego życia sięgam,
Więc przysięgnij mój Tomie. Tom odrzekł: Przysięga
Przez śnieżną burzę wichrami gnana
Mknie psich zaprzęgów śmigła karawana.
Jola-ho! słychać wkoło gromkie głosy,
Nagłąc psi wyścig krzyczą eskimosy.
Jest ich dwudziestu przez Toma dobranych
I przez druha Toma, Johna sprawowanych.
Sań jest czterdzieści ładowanych w towary
I psów przy każdych saniach cztery pary.
W saniach wyprawy jest wyposażenie,
Przyrządy wszelkie, broń i pożywienie.
I tak urządzoną świetnie karawaną
Po płomień życia ruszył Tom w nieznaną
Pełną zasadzek i w trudy brzemienną
Dziką krainę mroźną niegościnną.
Moc Ludów znieśli, rzecz to oczywista,
I tak przebyli mil całych czterysta.
Dalej jechali jeszcze przez dni cztery
Zanim ujrzeli groźne Kordyliery.
Przy stoku górskim, śniegiem zasypana
Stała chatyczka starego lwana
Potomka dawnych ruskich kolonistów,
Którzy od dawna, może od lat trzystu
Zestani byli na teren Alaski
Za ciężkie grzechy mocą carskiej łaski.
Carowie Stanom Alaskę sprzedali,

Ale zestańcy już tam pozostali.
Iwan był trampem. Wędrował, polował
I tak wraz z córką swoją wegetował.
Córka zaś jego, miała imię Tania,
Urodna, zgrabna i zdrowa jak łania
Bardzo tęskniła do świata kultury
I prosiła ojca by porzucił góry,
Bo po co żyć wciąż wśród dzikiej przyrody,
Gdy na południu można mieć wygody.
Iwana także zbierała ochota
Jechać do Stanów, lecz gorączka złota,
Którego zdobyć chęci nie poniechał
Trzymała w górach. Do Stanów nie jechał.
Do tej to chatki starego Iwana
Przybyła na noc Toma karawana.
Tu ludzie Toma spoczynku zażyli
A Tom z Iwanem sprawę uzgodnili,
Że dalszą podróż, jak z sprawy wynika
Należy odbyć biorąc przewodnika,
Który by zbędnym błędziom zaradził
I karawanę do celu sprowadził.
Rolę przewodnika wziął Iwan z ochotą
Myśląc, że znajdzie przy okazji złoto.
Zjedli wieczkę i czajem zapili
I w końcu wszyscy spać się położyli.
Lecz Tom i Tania tej nocy nie spali,
Siadłszy przy sobie długo rozmawiali.
Niewielem słyszał o czym tam gadali,
Bo jak to młodzi cichutko szepotali.
Były tam śmieszki i ciche wzdychanie,
A potem głośniejsze, Tom całując Tanie
Wyrzekł: „I love You, my darling Taniuszka”
A ona: „Lublu Ciebie mój miłoj Tomiuszka”
I tym wyznaniem miłosnym spojeni

Siedzieli do rana bardzo rozmarzeni.
Nazajutrz wcześniej od samego rana
Ruszyła w dalszą podróż karawana.
Przeszkody, trudy pokonując zuchy
Przeszli przetęcze i górskie łańcuchy,
Aż w samym sercu górskim położony
Wjechali w kanion groźnie obwieszony
Zwałami lodów i z tej to przyczyny
Grożący zwaleniem się strasznej lawiny
Na głowy śmiazków, którzy tu przybyli
I chwiejny spokój lodów naruszyli.
Więc skamienieli ze strachu i trwogi,
A Iwan poszedł szukać wyjścia drogi.
I tak uszedłszy z dwieście kroków może,
Kiedy pod lodem ujrzał złota złoże.
Niepomny na nie wrzasnął: złoto szczerze!
I chwycił u pasa wiszącą siekierę
W lód zadał szybko trzy potężne razy
Aż zadrżały góry i lodowe głązy
Potężnie w wąwóz z obu stron runęły
I karawanę Toma na zawsze pokryły.
Tom, John i Tania w wnęce skały stali
I dzięki temu przy życiu zostali.
Wnęki nie objął spadłych lodów zasięg,
Więc ocaleli sami i jeden psi zaprzęg
Wraz z sańmi ładownymi w broń, futra i żywność,
Lecz byli uwięzieni bez drogi na wolność.
Bo w prawo i na lewo wielkie lodów zwały
Tak powrót, jak marsz naprzód uniemożliwiały.
W tym ściana skalnej męki wpół się rozstąpiła
I foremną w swym wnętrzu bramę uczyniła.
W teźże to bramie trzy postacie jaskiniowców stały
I naszych podróżnych do wejścia gestem zapraszały.
Uwięzieni nie mając innego ratunku wyboru

Bez namysłu wkroczyli do tego otworu,
John przodem, a za nim Tom prowadząc Tanie
I w końcu wierne pieski ciągnące ciężkie sanie.
Wówczas, gdy te ostatnie bramę przekroczyły
Natychniały bloki skalne znów się potoczyły
Zazgrzytały i trzaśły, jakby strzelił batem
I trójkę podróżników rozłączyły z światem.
Znaleźli się w jaskini. Wkoło tu granity
A ciężki strop wspierały słupy stalaktyty.
Szczególną ich uwagę zwróciła jaskini struktura
Powietrze bardzo rzeźkie i temperatura
Dość wysoka i światło jasne mile rozproszone
Widać, że dzieło natury jest uzupełnione
Myślą twórczą i rękę człowieka mądrego,
Który trud swój tu włożył dla pożytku swego.
Idąc minęli kilka jaskiń, przejść, korytarzyków
Wciąż korzystając ze wskazań trójki przewodników,
Którzy chociaż nieznanym językiem mówili,
Zachęcając ich gestem, naprzód prowadzili.
Ciepłym środowiska i marszem zmęczeni
Zatrzymali się wreszcie w rozległej jaskini
Już nie pustej. Przez ludzi wreszcie zamieszkanej
I dziwnym jakimś światłem iluminowanej.
W środku jaskini stał ołtarz, a ludzi kolisko
Otoczało ogromne ofiarne ognisko.
Starszy wiekiem tubylec od ołtarza odszedł
I do sprowadzonych gości bardzo blisko podszedł.
Przyglądał im się bacznie, bardzo szczegółowo
A potem w końcu wyrzekł: „Nagoda” gardłowo.
Nagoda? – John pomyślał, cóż nagoda znaczy?
Kto odgadnie znaczenie? Któż to przetłumaczy?
Nagoda? hm... na pewno to oznacza: zgoda
Więc po krótkim namyśle odrzekł też: nagoda.
Starzec tymczasem oczami przewracał i językiem mlaskał

Zlustrował Johna tuszę, po brzuchu pogłaskał,
Potem wzięwszy za rękę ku ogniu sprowadził
I na stolcu kunsztownym uprzejmie posadził.
Gromada zaś tubylców co przy ogniu stała
Naraz tęskną i dziką piosnkę zaśpiewała
Czyniąc wokół Johna rytualne tańce
Bijąc nogami rytmy i dziwne łańce.
John choć biernie wypełniał tubylców życzenia,
Nie zaniedbał czujności, bystrego baczenia
Na to wszystko, co działo się wokół niego
Gotów działać natychmiast, broniąc życia swego.
Dodam jeszcze nawiasem to, na korzyść Johna,
Że był tęgim bokserem. Miał tytuł championa.
Siedział zatem spokojnie i w czujnym skupieniu,
Gdy na raz postyszał zgrzyt w jaskini sklepieniu.
Spojrzał w górę, w bok skoczył, jak gromem rażony
A na miejsce, gdzie siedział spadł dzwon rozżarzony
Do białego żaru. Tak przy pomocy gorącego dzwona
Zamierzali tubylcy zrobić pieczeń z Johna,
Jaskiniowcy wyciągnęli po Johna ramiona,
Lecz się srodze zawiedli, bo nie znali Johna,
Który w ruch już wypuścił swe bokserskie ręce,
Czterech zwałił nokautem, kapłana po szczęce
Ciosem sierpowym zaprawił. Krzyk, wrzask wniebogłosy,
A John ciągle parł naprzód miażdżąc zęby, nosy.
I tak walcząc jedynie gołymi rękoma
Dotarł wreszcie do sani do Tani i Toma.
Chwyć colta, w tłum strzelił serię kuli długą
A Tom ostoniwszy Tanię zawtórował drugą.
Wszczął się tumult straszliwy nie do opisanja
Wrzaski dzikie tubylców, krzyk, jęki konania
Słychać w koło. Pomyśleli tubylcy wreszcie o obronie
I chwyciwszy oszczepy w swe żyłaste dłonie,
Zaczęli nimi miotać w niefortunnych gości

Nie pomni na nie w niepoohamowanej złości
John z Tomem użyli nowej bojowej taktyki
I cofając się ciągle i robiąc uniki,
Nie dopuszczali do starcia i rozprawy walnej
Ostrożnie, lecz wytrwale dążąc do ostony skalnej.
Dotarli wreszcie do skalnej ostony
I zrobili z niej twierdzą zdatną do obrony.
W bezpiecznej skalnej wnęce umieścili sanie
A za nimi psy wierne i struchłątą Tanię,
Sami natarcie tłumów w rękach z oszczepami
Odpierali swych coltów ciągłymi seriami.
Po ścianie jaskini opinał się po zrębach,
Jak kot zwinny tubylec trzymając nóż w zębach,
Nagle skoczył ze ściany na dwie równe nogi
I rzuciwszy swym nożem, zadał nim cios srogi
W plecy Toma, który zakrzyknął jakby oparzony
Brocząc krwią padł na ziemię poważnie zraniony.
Na to Tania skoczyła, jak dzika pantera
I zwała napastnika strzałem z winchestera.
Wypadek ten przechylił krwawych zmagają szalę
Na korzyść napastników, którzy w szalonym zapale
Rzucili się do przodu szarżując skokami
I miotając wciąż w Johna swymi oszczepami.
John bez przerwy z colta strzela, spustoszenie szerzy,
Gdy naraz do jaskini wszedł hufiec rycerzy,
Zbrojnych w tarcze i miecze, w pancerze odzianych
I przez wspaniałego męża, wodza sprawowanych
Wódz krzyknął: Nagoda, buntownicze plemię!
Na co tubylcy upadli twarzami na ziemię
W jednej chwili wyzbyli się zapalczywości
I mrużąc głucho „nagoda” prosili litości.
Wódz podszedł blisko w postawie bardzo uroczystej
Do obrońców i przemówił w angielszczyźnie czystej:
Witajcie mili goście z zewnętrznego świata!

Władczyni nasza Zora przez długie już lata
Czeka na was. Dziś jej wróżbici właśnie oznajmili,
Żeście granicę państwa tego przekroczyli.
Jestem Natur. Z łaski Zory mam funkcję hetmaństwa,
Z jej rozkazu zabieram was do stolicy państwa
Przed bramę złocistą, stojącego na wspaniałym placu
Przybyli podróżnicy do Zory pałacu.
Natur trzykrotnie w gong mieczem uderzył,
Na sygnał ten odzwierny bramę wszerek otworzył.
Piękna jak Wenus, jak Diana wspaniała
Z pałacu wyszła Zora. W przybytych patrzyła
Przez czas jakiś. Potem rzekła: Ach przybyłeś Jimie!
Niech będzie uwielbione twe kochane imię.
Wierzyłam, że powrócisz i jesteś... Ach znowu niestety
Poraniony i w towarzystwie śmiertelnej kobiety...
Kto go zranił? – surowo spytała Natura,
Który zgiąwszy kolano rzekł: Plemię Timura.
Więc ukarż ich hetmanie surowo, przykładnie.
Przykazuję: W Timurze niech trzysta głów spadnie.
Tom tymczasem srodze zmęczony i chory
Został przeniesiony przez służbę do pałacu Zory.
Tam w urządzonej pysznie, wspaniałej komnacie
Złożono go wygodnie na miękkim piernacie.
Zora miksturą tajną ranę mu przemyła,
Która pod jej działaniem wnet się zasklepiła,
Znikło zmęczenie i nużąca senność.
Tam w kilka godzin ledwie odzyskał przytomność.
Szybko wracał do zdrowia i z tym to momentem
Nie był wprawdzie już chorym lecz rekonwalescentem.
Zora jego powrotu do zdrowia czule doglądała
I przy tej czynności tak z nim rozmawiała:
Przez czterysta lat, Jimmy na ciebie czekałam
I nieprzemysłanego czynu bardzo żałowałam,
Bo w szalonej zazdrości czyn ten popełniłam

Nienawidząc kobiety śmiertelnej ja ciebie zabiłam.
Tom pilnie słuchając Zory czuł zamęt w rozumie
Więc rzekł: Przepraszam panią bardzo, ja nic nie rozumiem,
Dlaczego pani zwie mnie Jimmem? Tom jest moje imię,
A Jimmy, to imię mego przodka. Tyle wiem o Jimmie.
Zaraz Jimmy rozproszę twych myśli zaćmienie.
Oto włączam aparat – ujrzysz swej przeszłości cienie.
Przed tym wypij eliksir, który tysiąc razy
Wzmocni słabą twą pamięć. Wywoła obrazy
Z bytu twego, zatartych w dalekiej przeszłości
I rozproszonych w wszechświata nieskończoności.
Nastąpiły widzenia: Kanion, ogniska, w górę płynie dym...
Tu John... nie to Allan, a tu on, nie Tom lecz Jim.
Obok majączy jakaś postać znajomej kobiety.
Czyżby Tania? Nie Tania, to przecież jest Katy.
Potem burza z wichrami. Potem po lawinie,
Jakieś dziwnie znajome podziemne jaskinie.
Potem Zora, jak w słońca promieniach skąpana
Tak piękna, jak Wenera, tak bardzo kochana...
Następnie pocałunek złoży na Katy licach
A potem gniewnych oczu Zory błyskawica...
I w tym miejscu widzenia zostały przerwane,
Sen go zmorzył i zapadł w niebytu nirwanę.
Widzenia znów wracają: Miasto, ogród z domem
I on Jim, mały chłopiec. Czemu zwą go Tomem?
Jest i Allan druh wierny i wypróbowany, –
Też jest małym chłopczyką, Johnem nazywany.
Potem dzika kraina śniegiem zasypana
I znowu piękna Katy, lecz Tanią nazwana.
Następnie są znów wszyscy w podziemnej jaskini
I znowu boska Zora tych jaskiń władczyni
Tu widzenia odeszły w dali rozproszone,
A Tom chustką ocierał swe czoło zroszone
I wyrzekł; Nie do wiary – to halucynacja.

Na to odrzekła Zora: Nie, Jimmy, to reinkarnacja.
Tak jak po ciemnej nocy nastaje świtanie,
Tak samo i po śmierci wraca zmartwychwstanie.
Najpierw są urodziny, życie i zgonu agonია,
Potem powrót do życia. Byt i niebyt to zgodna harmonia
W wszechświata istnieniu. Jest prawda szczerą, naga
Że musi w bycie i niebycie istnieć równowaga.
Kto mieczem niszczy życie w swym porywczym czynie
Ten wcześniej, albo później, też od miecza zginie.
Ja w stosunku do ciebie także zawiniłam...
Łączy nas za tym karma, tej nie odrobiłam
Dotychczas, ten teraz niezawodnie całą ją odrobię
I za długą nieśmiertelność ofiaruję tobie.
Przejdiesz przez płomień życia i naszą krainą
Będziemy władać, Ty zostaniesz Plutonem, a ja Prozerpiną...
Czy jesteś Zoro hinduską, Buddy wyznawczynią?
Nie, mój Jimmy. Ja jestem resztki Atlantów władczynią,
Który na skutek groźnej klęski żywiołowej
Powszechnie zwanej pod nazwą epoki lodowej,
Ocaleli dlatego, że zeszli w podziemie,
Zachowując w ten sposób przy życiu swe plemię.
Lecz dlaczego wciąż trwacie tu dalej w podziemiu?
Skąd czerpicie żywność i inne produkty niezbędne w istnieniu?
Produkty żywnościowe i masy różnych materiałów,
Które widzisz, czerpiemy prosto z minerałów.
Mamy liczną grupę światłych, mądrych inżynierów,
Którzy kierują pracą analizatorów i syntezatorów
Wyrabiając z pierwiastków mineralnej gleby
Wszystko, co służyć wam może na nasze potrzeby.
Czegokolwiek zapragniem, otrzymujęm szczerze
Od naszych jaskiń. Więc po co je opuszczać, gdy w nich jest nam dobrze.
Szczęśliwie więc żyjemy pod pieczę podziemia,
Gdzie nie grożą nam wojny ni żadne zniszczenia,
Wróćmy jeszcze o Zoro ku twemu wspomnieniu,

W którym mi proponujesz spacer po życia płomieniu.
Nic z tego nie rozumiem, co płomień ten znaczy
Więc może w tej materii objaśnić mnie raczysz.
Płomień życia to tajemnica, którą ja odkryłam
Bardzo dawno, gdy jeszcze geologią się trudniłam.
Wierząc ziemię w jednej z tych naszych jaskiń
Natknęłam się na ślady cudownych promieni
Wydzielanych z otworu przewierconej skały
I po bardzo wielu próbach, które lata trwały
Stwierdziłam niezawodnie, że promienie skalne
Dają komórkom żywym trwanie niezniszczalne,
Lecz tylko po pierwszym jednym naświetleniu,
Przy powtórnym zaś, ulegają szybkiemu zniszczeniu.
Następnie promieniami życia siebie naświetliłam
Stałam się nieśmiertelną i śmierć zwyciężyłam.
Teraz także i ciebie naświetlę życia promieniami,
Jeśli kochasz mnie Jimmy? – Tak kocham cię pani!
Mam wrażenie, że całe życie cię kochałem
I jako dobrą wróżkę w snach cię widywałem.
Więc w porządku mój Jimmy, teraz wobec tego
Pójdiesz ze mną na spacer do grobowca twego,
Który należy zniszczyć i oddać nicości,
Bo znowu jesteś przy mnie w żywej rzeczywistości.
To mówiąc Toma za rękę ujęła
I do pałacowych piwnic z sobą sprowadziła.
Schodząc w podziemia, tak Zora cichutko szeptała:
Patrz Jimmy, te schody kamienne jam tak wydeptała
Twej mumii codzienne czyniąc odwiedziny...
Oto stóp moich ślady, te w stopniach wgłębiny.
Znaleźli się w grobowcu, gdzie z czcią i powagą
Stanęli przy wspaniale rzeźbionym wielkim sarkofagu,
Na którym ciało Jimma dobrze zmumifikowane
Przez czterysta lat leżało zabalsamowane.
O nieba – Tom pomyślał – toż to moje ciało. Ta rysa

Na dłoni, to pamiątka po łapie dzikiego tygrysa.
A tu proszę – wyszeptał lustrując nieboszczyka ramię
Ja i teraz posiadam takie samo znamię...
Wierzę tobie, o Zoro i wszelkie moje wahania skończone.
Ja jestem twoim Jimmem. Zostać z tobą na zawsze jest mi przeznaczone.
Tymczasem ramię Zory stóp mumii dotknęło
Trysnął płomień i ciało Jima w płomieniu spłonęło.
Taki oto rezultat, Zory mądra dyplomacja
Odnosił Toma odniosła. Ale irytacja
Nie dała jej spokoju w myśli o Tani rywalce,
Więc potajemnie zleciła kapłance-westalce,
Aby Tanię w szeregi kapłanek wcieliła
I pozorując przypadek, życia pozbawiła.
John tymczasem przy bramie z Tomem rozłączony
Został z Tanią na mieście w domku umieszczony,
Gdzie wiódł żywot spokojny, niczym krępowany,
Myślał o stanie rzeczy i układał plany:
Jak wybrnąć z sytuacji nie do zazdrośczenia?
Jak wyrwać się na wolność i uciec z podziemia?
Nie znoszący bierności i do czynu skory
John wiele odbył wędrówek po królestwie Zory.
Zwiedził wszystkie pieczary i wszystkie podziemia
Fabryki i potężne siłownie, różne urzędnia.
W końcu ruszył do jednej odległej pieczary,
W której przedtem umieścił sanie i jurne ogary.
Tam prowadził badania żmudne i nużące,
I przypadkowo odkrył wyjście ze światem łączące.
Więc pełen optymizmu i niefrasobliwości
Wracał i cieszył się widokiem już bliskiej wolności.
Wkroczył w dom i zawołał: How are you, Taniu?!
Lecz wkóło była cisza Tani nie było w mieszkaniu.
John złym przecuciem nieszczęścia wiedziony
Wybiegł prędko na miasto i gnał jak szalony.
Przebiegł szybko dzielnice, ulice, zagrody,

Aż znalazł się na placu świątyni-pagody,
Gdzie ujrzał bardzo liczne kaptanek zebranie
Śpiewających modlitwy i wiodących Tanię
Do zapadnięą krytego jednego z otworów,
Gdzie wrzucano substancję dla analizatorów,
Których czynność i praca dają te wyniki,
Że związki chemiczne rozkładają na proste czynniki.
Jedno bystre spojrzenie Johnowi starczyło,
By się mógł zorientować, co Tani groziło,
Więc pobiegł bardzo szybko i biegł do tej pory,
Aż znalazł się w komnatach patacowych Zory.
Znalazł Toma siedzącego w wygodnym fotelu
I krzyknął: Tania ginie! Tomie przyjacielu,
Chodź natychmiast! Musim ją ratować,
Nim ją wiedźmy przeklęte zdążą zamordować.
Ledwie słowa o Tani w uszy Toma wpadły,
Tom poczuł jakby łuski z jego oczu spadły.
Porwał colta i wraz z Johnem, jak gradowa chmura
Wypadli na dziedzińce, gdzie wojsko Natura
Zagroziło im drogę. Lecz na nic męstwo falangi dzielnej, –
Skosiły ją serie broni szybkostrzelnej.
Wpadli na plac, gdzie było kaptanek zebranie,
Rozpędzili kaptanki i zabrali Tanię.
Teraz, jak tylko mogli, ile w piersiach pary
Parli naprzód, zdążając do znanej Johnowi pieczary,
W których sanie i psy wierne ich oczekiwały,
Wraz z furtką do wolności z litej twardej skały.
Już do jaskini trójka dzielna odważnie wkroczyła,
Gdy drogę im jak zjawa, Zora zagroziła.
Stała przez chwilę milcząc, bardzo smutna była
Ciągłe patrząc na Toma, tak doń przemówiła:
Jimmy, wyroki nieba i fatalne siły
Wszystkie moje marzenia w popiół obróciły...
Zrządzenie losu zmienne w Chronosie ukryte

Sprawiły, że żegnamy się w miejscu, gdzie jest ignis vitae.
Odchodzisz dziś... nie mamy więc nic do ukrycia,
Pomówmy szczerze, przejdź przez płomień życia,
Staniesz się nieśmiertelnym, będziesz wiecznie młody,
Śmierć ciebie nie dosięgnie, nie zniszczą przygody...
Ta kobieta po latach zbrzydnie... zestarzeje, wtedy ją porzucisz
I zatęsknisz znów za mną i do mnie powrócisz.
A ja czekać cię będę wiecznie piękna młoda,
Więc przejdź przez płomień życia i niech będzie zgoda.
Tom na to: Nie mogę tego zrobić. Brak mi zaufania
Do osoby mającej zdolność mordowania
Ludzi niewiecznych. A poza tym odpowiem ci szczerze,
Że w bajkę o płomieniach życia ja wcale nie wierzę.
Ach kochany, jedyne, najdroższy mój Jimi!
Ty nie wierzysz?... Tyś zabił mnie słowami twymi!
Nic mnie teraz przed zgubą i śmiercią nie ochroni, –
Ja muszę dzisiaj umrzeć, bo kharma mnie goni...
Chusteczką tężę otarła z wilgotnej powieki
I rzekła: Good bye, Jimmy! znów na cztery wieki.
Ukrytym mechanizmem płytę odchyliła, –
Ukazała się studnia, nad którą stanęła
Mówiąc: O wielki Iniguis Vitae! przybywaj z łoskotem
I weź nieśmiertelności twoje cenne dary.
Nieskończoność istnienia zwracam ci z powrotem, –
Chcę zostać znów śmiertelną... bo cierpię bez miary.
Głos ze studni: Gdy potężny mój dech znowu cię owieje,
W prawo śmierci popadniesz.
Oczy twe stracą blask, włos twój posiwieje,
Ciało twoje zwiędnie i martwą upadniesz.
Tu zamilkł głos. – I strumień ognia bucha...
Zachwiała się Zora i o płytę wsparła, –
Lecz jaką przemieniona; po prostu starucha...
Wyszeptała: Jimmy... – padła i umarła.
W Chicago, w komfortowym, ładnym sitting roomie

John i Tom z żoną Tanią siedzieli w zadumie.
Rozparci w swych fotelach wspólnie wspominali
Swe niedawne przygody i tak rozmawiali:
Analizując niedawnych naszych przygód dzieje,
Dochodzę do konkluzji, że płomień życia wcale nie istnieje. –
Rzekł John. Lecz Tania słowom Johna zaraz zaprzeczyła,
I patrząc rozkochana na Toma tak się wyraziła:
Zgadnąć, czy on istnieje, John darmo się trzodzi. –
Płomień życia istnieje, w sercach zakochanych ludzi.

GDY NOCĄ BUDZĄ SIĘ UPIORY

Nad stepem Kuzuł-Kumu zawisty tumany,
I księżyc szczęśliwy zabłysnął wysoko.
Na brzegach Kerulenu prastare kurhany
Westchnęły i jęły w swym wnętrzu głęboko.

I wichur mongolski zajęczał stepowy...
Rozpędza tumany i mgłę w kłęby wzdyma,
Pękł kurhan. – I woniąc swój oddech grobowy
Wyrzucił upiorną postać Temudżyna.

Upiorny ehan – ehanów, krwawy tyran świata
Wstał z grobu i patrzy na zachód trupimi oczyma.
Wspomina swe czyny i minione lata...
U boku miecz krwawy, w ręce nahaj trzyma.

I mrużąc modlitwę do Suldego boga,
Wzniósł w górę róg złoty i zadął weń silnie...
Jak klątwa szamana step razita trwoga, –
Chan usiadł i i milczał, Nastuchiwał pilnie.

Z zachodu na zew ten, lotem błyskawicy
Mknie dżygiti i woła: Jestem Dżingis – chanie!
Padł na twarz przed władcą jeździec trupiolicy...
Chan wyrzekł: Wstań, zbliż się! Witaj Lenin-chanie!

Witaj potomku ruskiej niewolnicy
I chana Eblisa, praojca Madżudżych,
Których wygnali z piekła piekielnicy, –
Jam pierwszy, tyś ostatni z Madżudżych-Jadżudżych.

Upiory my dzisiaj z wyroku bożego,
I dotąd musimy trwać w upiornym stanie,
Aż dzieła dokończyc z nas każdy swojego, –
Aż Sulde zasiądzie w tronie... w Lechistanie.

W pochodzie na zachód byłem zatrzymany
Przez hufce Lechitów pod grodem Legnicą,
Ty w „Cudzie nad Wisłą” ległeś zdruzgotany
Ich ręką orężną niby błyskawicą.

Od tysiąc lat blisko, dzieje tego państwa
Są znane na Wschodzie, jak i na Zachodzie, –
Lechistan to bastion, to mur chrześcijaństwa,
Który nas wstrzymuje na zachód w pochodzie.

Dziś „księżyc szczęśliwy” czar swój rozpoczyna. –
Złamiemy potęgę i lechicką butę.
Lechistan w imperium wcielisz Temudżyna,
W mongolską niewolę, pod mongolskim knutem.

Już upiór germański Bismarcka – nojona,
Swym trupim oddechem, kraj zachodni truje.
Jad nienawiści wpaja w Teutona, –
Pożogę świata i zgubę Lechitom gotuje.

Ruszysz na zachód, gdy zabłyśnie zorza, –
Niech skońnoocy nasi wojownicy
Dojdą do granic Ostatniego Morza.
Niech pomszczą hańbę Legnicy!

Oto mój rozkaz, synu Lenin-chanie,
Przez boga Sulde zlecony.
Ty go wykonasz! Tak jest Dżingischanie!
A więc znikajmy. Kuruttaj skończony.

* * *

*

Nastąpił przez Wieszcza wieszczowe te pory.
Gdy ogień z nieba wytrysnął.
W bój gigantyczny ruszyły upiory, –
Świat cały krwią się zachłystnął.

Upiór germański został powalony
I krzyżem spaczonym przybity.
Mongolskie w Europie grasują zagony,
Jej kraje tratują dżygity.

Mongolski bóg Sulde ma chram swój w stolicy,
Lechistan związany mongolskim powrozem.
Nohajcy mongolscy stanęli w Legnicy,
I zbrojnym w niej legli obozem.

TAM STRASZY...

Stary ponury zamczyska gmach,

Pełen tajemnych mocy,

Budzi panikę i błady strach

W przechodniu zbłąkanym w nocy.

Straszne się dzieją dziwy i czary

W ruinach starego zamczyska –

Błądzą tam różne duchy i mary

I straszy siła nieczysta.

Upiorny rycerz w nocy błądzi tam –

Zaklętych skarbów szuka.

Z ruin do zamku dochodzi bram

I mieczem w kamienie stuka.

Widziałem jak szedł w nocy on

Wydając upiorne stękanie –

W miecz zbrojną podniósł w górę dłoń

I zabił... pluskwę na ścianie.

MODLITWA TRUPOJADÓW

Chór ludzi:

Dziękuję Ci Boże za Twe hojne dary,
Za tony mięsa i za chleba kupy,
Które na ziemi stworzyłeś bez miary.
Za płody roślin i za zwierząt trupy.

Za z trupa świni smaczne śniadanie
Dziękuję Ci panie!

Za ciał zwierzęcych milionowe tony,
Za tłustą pieczeń i krwawe kaszanki,
Za kietbas kupy i smaczne bekony,
Za kurki, gąski i tłuste baranki,

Za ze skór zwierzęcych uszyte ubranie
Dziękuję Ci Panie!

I nie przestanę czczyć Cię adorować,
Żeś stworzył zwierząt milionowe grupy,
Które mi wolno bezkarnie mordować,
Łupić ze skóry i zjadać ich trupy.

Za sztukę mięsa i krwi zwierząt galon,
Na wieki wieków bądź Panie pochwalon.

Chór zwierząt:

Ratuj nas panie od śmierci i męki,
Która nas pewnie i niechybnie czeka
Ze zjadacza trupów zbrodniczej ręki
Kata naszego, oprawcy, człowieka,

Za krwawe mordy i zwierząt zjadanie
Ukarz go Panie!

Pożarł już całe grupy i rodzaje,
Znikły bizona i żubry i tury
I zreć nas dalej dotąd nie przestaje,
Bije, morduje i łupi ze skóry.

Więc zanosimy do Ciebie błaganie,
Przeklnij go Panie!

On w swej zbrodniczej pysze i dumie
Synem się Twoim, bluźnierczo, powiada,
Bo on ma duszę i wszystko rozumie...
Panie, czy chcesz być Ojcem trupojada?

Za to bluźnierstwo Tobie rzucone
Niech imię jego będzie potępione.

Chór robaków:

Niech mądrość Twoja od praprawieka
Chwalona będzie do końca wieków,
Za to że karmisz padłem człowieka
Nas trupojadów-mrowię robaków

Za z trupów ludzkich smaczne śniadanie,
Dzięki Ci Panie!

Pożremy wszystko, mnicha i żołnierza.
Z padliny ludzkiej nic nie pozostanie,
Zjemy i króla i nawet papieża
I za to dzięki składamy Ci Panie!

Za trupów ludzkich setki, miliony,
Na wieki wieków bądź nam uwielbiony.

Lecz potęp Panie i wróble i kury,
Które nam życie nasze obrzydzają,
Młóćą dziobami i drą nas ze skóry
I żywcem bractwo nasze pożerają.

Do stóp Twych boskich zanosim błaganie:
Od kur i wróbli zachowaj nas Panie.

OPTYMISTA

W pocie czoła orał pole,
Które chwasty mu rodziło.
Przeżył kłęski i niedole,
Lecz go to nie nauczyło
Jak traktować życia dzieje.

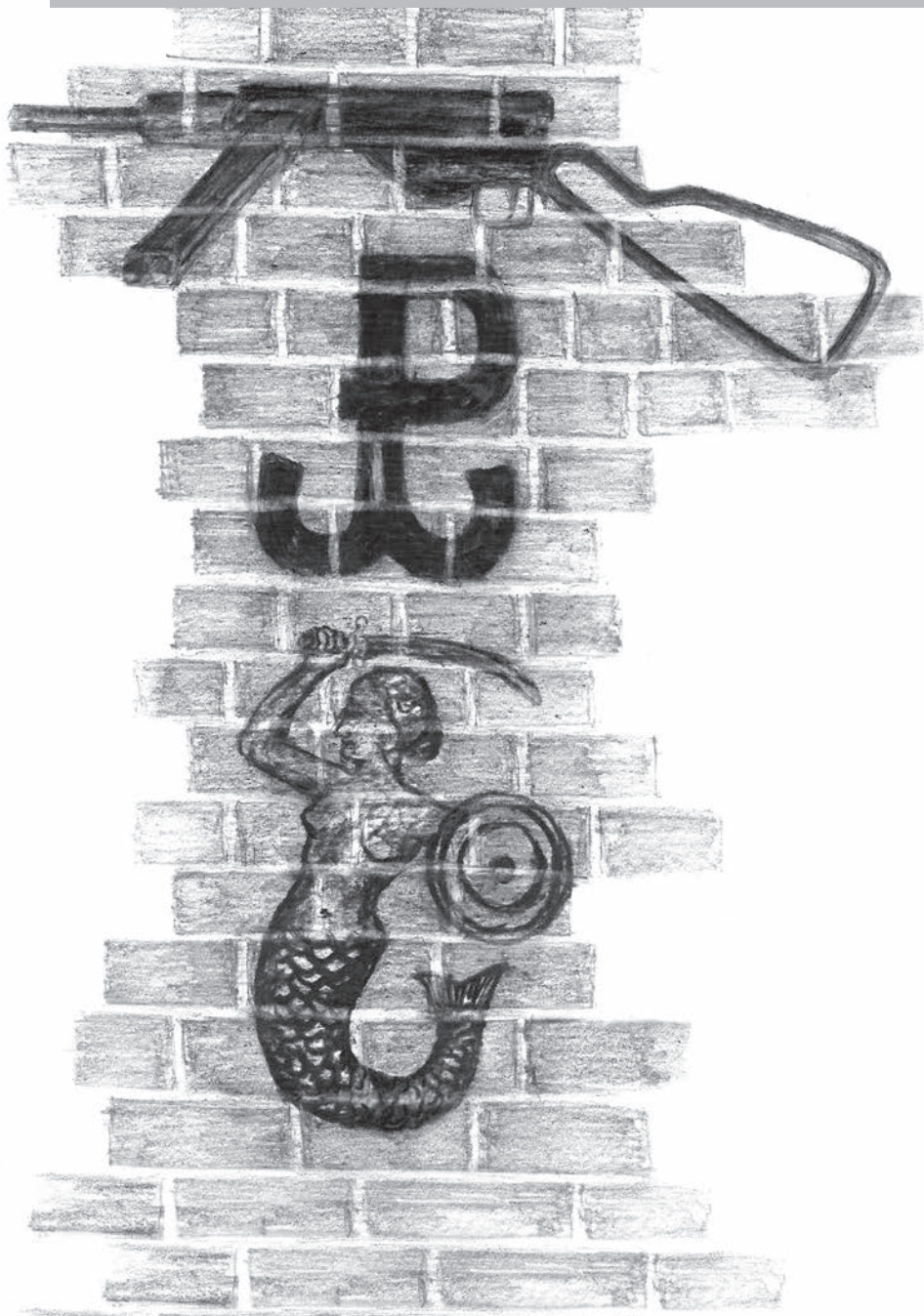
Chociaż przeżył kopę lat
I już dziadek zaś jest stary,
Jednak patrzy na ten świat
Przez różowe okulary.
Na cóż jeszcze ma nadzieję?

Reumatyzm od lat wielu
W gnatach mu wyprawia harce
Z Morfeuszem na fotelu
Ciągle walczy on zażarcie
A kostucha doń się śmieje..

Taki to on optymista, –
Miły uśmiech wkoło śle
Lecz zapomniat, oczywista
Że go wkrótce... robak zje.

No, cóż zrobić? – tak się dzieje.

STEN



RZECZ O NODZE

Imię jego „strachem wroga”,
Nazywał się Paweł Noga.
Miejscem urodzenia: Lwów,
Hulał fajno i był zdrów.
 Czy szczęśliwym był we Lwowie?
 O tym teraz nikt nie powie.
 Za to szczęścia dużo użył,
 Gdy „przy marynarce” służył.
Pływał Paweł na okręcie
Po burzliwych fal odmęcie,
A jak kiedy był „przy biedzie”
Pływał nawet na torpedzie.
 Los go zmusił do nauki
 chemii, wojny, balistyki
 Przeżył porę pracy znojnnej
 W tej Warszawskiej Szkole Zbrojnej.
Choć nietęgę miał wyniki,
Robił w chemii straszne byki,
To odpłynął całkiem zdrów,
Morze go zabrało znów.
 Rozgorzała wojna sroga,
 Gdzie zaginał Paweł Noga...
 Może w boju z wrogiem padł
 Podchorąży Noga, mat?
Cóż po Pawciu pozostało?
Moi drodzy, bardzo mało:
Wszystko razem w całej sumie
Fotografia... w mym albumie.

BATALION NIEŚMIERTELNYCH*

Wrzesień roztoczył urok swój
I bryza szła od morza...
Batalion z wrogiem podjął bój
Nad Westerplatte płonie zorza!

Wśród gradu kul i gradu bomb
Trwali osamotnieni
W krwawych zmaganiach zęb za zęb
Nie dali piędzi ziemi

Aż legli wszyscy, jak tan zboża
Druh z druhem i brat z bratem
I śpiewał tylko wiatr od morza
Pieśń o żołnierzach z Westerplatte

I powiem jeszcze o nich tyle,
Że choć polegli, dzielni
Czyn ich to drugie Termopile!
Stali się Nieśmiertelni

Nad poległymi księżyc wstał
I rozlał swą poświatę
W górze batalion w czwórkach stał
Żołnierzy z Westerplatte

* Przyp. red.: Utwór inspirowany „Pieśnią o żołnierzach Westerplatte” K.I. Gałczyńskiego.

I dał się słyszeć z góry głos:
Rycerska już potrzeba
Skończona, chłopcy! Taki los...
Batalion, marsz! Do nieba

Słyszeli, co mają słuch,
Jak wzwyz od niebosktonu,
Grzmiał pośród chmur paradny krok
Morskiego Batalionu

KOŃ I SAMOŁOT

Kapralu Trzmielu, pamiętam o tem,
Jak gnateś cwałem pod Jaktorowem
Wiodąc śmiertelny bój z samolotem
Na dzielnym Banzaju, rumaku bojowym.

Dwukrotnie messerschmitt atakował z góry,
Dwukrotnie obsypał cię swymi kulami –
Dwukrotnie twój Banzaj, jak ptak srebrnopióry
W bok skakał, ratując życie unikami.

Pomnę, jak wrogowi nadlatującemu
Na kształt warczącego wściekłego potwora
Rąbnąłeś celną serię z swego erkaemu
Strącając go w dymie do wody jeziora.

Pamiętam wiwaty i wiarusów brawa
Dla ciebie kapralu i Banzaja twego, –
Była to wspaniała zwycięska rozprawa
Z niemiecką maszyną rumaka polskiego.

Po wojnie, przypadkiem, Jaktorów zwiedzałem
(Zaprosił Domański mnie do siebie w gości)
Wydobyty z wody wraży wrak widziałem
I pokryte mułem dwóch lotników kości.

I myślałem o tym, mój kapralu Trzmielu,
Jak ten wrak cuchnący pruł nasze obłoki,
Jak go zwyciężyłeś miły przyjacielu...
Lecz gdzie ty, i koń twój? – Banzaj bystrooki.

Płonie ognisko i szumią knieje...
Przy ogniu leśna gromada
Gotuje zupę i ręce grzeje,
Ćmi papierosy i gada.
Dzisiaj z wyprawy zbrojnej wrócili
Na Niemców podłą hołotę,
Pociąg zniszczyli, mosty spalili
Zrobili dobrą robotę.
Drzewa im teraz schronienie dają
Śpiewają im leśne ptaki,
A więc bezpiecznie odpoczywają
Akowcy. Leśne chłopaki.

Noc już zapada, w dali pies szczeka,
Przy ogniu swą zupę jedzą.
Co będzie jutro i co ich czeka,
Naprawdę oni nie wiedzą...

W płaszczu spowici legli na ziemię,
Miast gwaru nastąpi cisza.
Snują się tylko szyldwachów cienie
I ciszę zmąci szcęk wisa.

CZEKAM NA ZNAK

Ajzyk Cytrynel lat dwadzieścia skończył
I wyrósł już z bubla na chłopa dużego.
Gimnazjum Ostrogskie on chlubnie ukończył
I służyć w ułanach czas przyszedł na niego.

Choć kręcił i motał, by w wojsku nie służyć,
Bo ojciec miał handel bławatny w Ostrogu
Choć pragnąłby pobyt przy ojcu przedłużyć
Choć błagał Jehowę ze łzami i trwogą.

Nic nie pomogło, nic nie wyszło z tego,
Z próśb i odwołań, z podań ajzykowych. –
Został wcielony do Dziewiętnastego
Pułku Ułanów w Ostrogu, Kresowych.

I czasu przeszło lat dziesiątek prawie,
Kiedy Ajzyka w Ostrogu widziałem,
Aż przypadkowo na Woli w Warszawie,
Znów po raz drugi z nim się spotkałem.

Serwus! – Zawołał radośnie – Czestawie!
Jakże ty żyjesz? Co słychać na świecie?
A ty co robisz, Ajzyku w Warszawie?
Nu przecież widzisz, ja tu jestem w getcie.

Gdy łuna wojny zabłyśła nad światem,
Ja z ułanami w bój powędrowałem,
Na Prusach Wschodnich z szablą i granatem,
Wrogie niemieckie czołgi szarżowałem..

A potem byłem w obronie Warszawy.
Przeżyłem walkę i miasta agonię,
Wśród huku armat i dymów kurzawy,
Widziałem finis Polonia.

A teraz Czesławie, wiem – że mnie nie zdradzisz –
Z rozkazu starszyny, ja bronią handluję.
I wiem, że w tej sprawie ty mi coś poradzisz.
Bergmany i wisy ja chętnie kupuję.

I tak się z Ajzykiem szybko dogadałem,
wypiliśmy bimer i po jednym piwie
Bergmany i wisy ja mu dostarczałem –
On płacił emisyjne „górale” fałszywe.

Wieść jak błyskawica przebiegła po świecie,
Wybiła godzina i rozpaczy próba...
Powstanie wybuchło w warszawskim getcie –
Za broń pochwycili Synowie Jakuba.

Spałem. Wtem słyszę, że w okno ktoś puka.
Kto? – pytam. Otwórz, przyjacielu. Cześć!
Wśród czterech zbrojnych ujrzałem Ajzyka,
Który mnie witając rzekł: Czesław, daj jeść.

Powstanie upadło, drogi przyjacielu,
I legła nasza izraelska brać...
Lecz dla nas żywych, co uszło niewielu,
Ty mój Czesławie, jako możesz radź.

My chcemy w leśnej partyzantce być,
Więc wskaż nam drogę do lasu –
My chcemy jak dotąd, dalej Niemców bić,
Polec, lub dożyć do lepszego czasu.

A więc, jak mogłem, tak im poradziłem.
Hasło i papiery do Żbika im dałem,
I w lasy radomskie fordem wyprawilem,
Życząc im: Szczęść Boże, tam ich pożegnałem.

Odchodząc w lasy, tak Ajzyk rzekł do mnie:
Ty dawniej w Ostrogu w gimnazjalnej ławie.
Pisałeś takie śmieszne wiersze, pomnę, –
Napisz coś o mnie, Czestawie.

Jeśli będę żywy i gdziekolwiek będę,
Obiecuję tobie, postanawiam tak,
Że z myślą o tobie swe życie przebędę
I jak będzie można, dam o sobie znak.

Odeszli zbrojni w radomskie lasy,
I zginęli w porannej mgle sinej...
Na nowe trudy, zmagania, niewczasy,
Wiódł ich podchorąży wachmistrz Cytrynel.

I od tej pory ćwierć wieku minęło. –
Nie jeden skrzydła swoje zwinął ptak,
I dużo wody w Wiśle przepłynęło.

Ja czekam ciągle na Ajzyka znak.

W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten święty Krzyż, znak męki i Zbawienia. Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia...*

* Przep. red.: Fragment roty przysięgi żołnierzy Armii Krajowej.



Kurs pirotechników, 1934 r. Czesław Wyczechowski siedzi pierwszy z lewej.

DUMKA O POWSTANIU WARSZAWSKIM

Zagrały surmy bojowe...
Do broni, hej ludu Warszawy!
Czas przerwać niewoli okowy,
Z ciemiężcą czas stoczyć bój krwawy.

Już stają drużyny gotowe,
Oddane już wszystkie sygnały.
Lśnią w rękach steny stalowe...
Żoliborz dał pierwsze strzały.

Ruszyli. Duch zemsty ich wiedzie
Na z wrogiem śmiertelne zmagania.
Za hańbę w niewoli i biedzie,
Rozgrzmiąto Warszawskie Powstanie.

Za wolność Polaków bój wiedli
Z odwiecznym wrogiem, bój prawy,
Lecz w końcu przemocy ulegli,
Polegli na gruzach Warszawy.

Dziś różne kanalie i szuje
Chcą hańby ich pokryć pyłami,
Że byli tam sami burżuje.
Nieprawda. Ja z nimi byłem

Przeżyłem wraz z nimi dni walki i trudy,
I ręcę wam swoim honorem:
Powstanie to dzieło warszawskiego ludu
Z ich wodzem na czele generałem Borem.

Choć zdani tylko na własne swe siły
Nie znając niczyjej pomocy,
Choć legli i skryły ich bratnie mogiły,
Choć ulec musieli przemocy,

To jednak świadectwo sali światu jasne,
Wbrew wrogów dzisiejszej oceny,
Że Polak chętnie odda życie własne
Za wolność nie znając ceny.

BAŚKA

Śmigła i zgrabna i niebieskooka
Na głowie blond włosów wichura
O miłej twarzy i niezbyt wysoka,
To nasza Baśka – Powiśla córka

Łączniczką była w naszym zgrupowaniu,
Nosila listy i tajne rozkazy,
Była żołnierzem w Warszawskim Powstaniu,
Oraz dziewczyną jak kryształ bez skazy.

Zawsze zajęta, nie próżnowała,
Czy na placówce, czy też na biwaku,
Rannych żołnierzy chętnie doglądała,
Śpiewając piosnkę o sercu w plecaku.

Raz Baśka poszła z Krybara rozkazem,
Gdzieś aż na Wolę i nie powróciła.
Może zbłądziła w kanałach tym razem?
A może wraza ją kula zabiła?

Lecz było gorzej, posłuchajcie, proszę:
Na Tamce miałem bronić barykady...
Do dziś pamiętam i w sumieniu noszę,
Z którym dotychczas nie mogę dać rady,

Zdarzenie straszne, jak dzieło szatana.
Idzie czołg wroga i strzelców gromady,
Do czołgu Baśka drutem przywiązana...
Jak miałem wtenczas bronić barykady?

Poznała mnie z dala wśród wrzawy i krzyku,
Gdy stałem bezradny w rozterce.
Krzyknęła boleśnie: Strzelaj poruczniku!
I ręką wskazała na serce.

Strzeliłem... A potem już cała załoga
Zgon widząc męczeński tej dzielnej dziewczyny
Zionęła kulami w twarz podłego wroga
Miotając butelki benzyny.

Odeszły wrogich fizylierów grupy,
Na placu kilka trupów pozostało...
Czołg odszedł także nie dbając o trupy
I poniósł Baški umęczone ciało.

ZAGŁADA PLACÓWKI NA OBOŻNEJ 1 W DNIU 9 WRZEŚNIA 1944 ROKU

Świtało, gdym wrócił z patrolu nocnego,
Wschód słońca był mętny i rdzawy
Z powodu strzeżogi i pyłu dymnego,
Z dokoła płonącej Warszawy.
Więc ległem, zasnąłem. Sen miałem koszmarny...
Wtem zbudził mnie okrzyk gdzieś z bliska:
Alarm! Dwa czołgi niemieckie w ulicy Browarnej, –
Załoga na stanowiska!
Strzeliły dwa piaty, czołg jeden trafiony.
Wybuchł i zastał ulicę odłamami stali,
Drugi zaś uszedł wśród dymnej zastony.
Zwycięstwo! Szkopy od rana nauczkę dostali.
Lecz radość niedługa, bo przez targowisko
Wrażę piechoty posuwa się chmura.
Robią natarcie. Już ich widać blisko,
Już zieją ogniem krzycząc: vorwärts! hurra!
Zagrzmiały steny, wróg przywarł do ziemi,
Zachwiała się wraża kolumna.
Jak z kuźni wulkanu grzmi, strzela i dymi
Z Obożnej placówka niezłomna.
Natarcie złamane przez załogi męstwo. –
Wróg odszedł pobity i starty.
Placówka odniosła ostatnie zwycięstwo,
Ostatni szturm na nią odparty...
Grzmot straszny się rozległ i zatargał światem...
Runęły ściany i betonu bryły.
Niemcy placówkę zniszczyli goliatem,
Gruzy obrońców pokryły.
Taka walecznym dana była dola...

Pod gruzem legli i nie ujrzą słońca.
Nie wszyscy. – Rosomak i Trzmiel i Rola
Z pod gruzu wyszli... i poszli...
by walczyć do końca.

DO STAREGO WIARUSA

Cóż ci rzec dziś przyjacielu,
W kwintesencji naszej sprawy?
Takich, jak my było wielu,
Co szli w życiu przez bój krwawy.
Gdy zakwitał kwiat wrzosowy,
Wróg odwieczny na nas ruszył.
Wzięlim wtedy chrzest bojowy
Potem... los nas w świat rozprószył.
Los nas wtenczas zbyt nie pieścił, –
Do wolności długa droga...
Na Sybirze polskie kości
Pomsty krzyczą dziś od Boga.
Krematoria wciąż dymiły...
Wszędzie rozpacz, wszędzie ból,
Wszędzie groby i mogiły
Rodaków padłych od kul.
Gdy już krzywd było za wiele,
Wtedy my, gdziekolwiek bylim
Z mogił wstalam, jak mściciele; –
Oręż w ręce pochwycilim.
Były wtedy piękne sprawy:
Narvik, Tobruk, Monte Cassino,
Były i gruzy Warszawy,
Wał Pomorski i Lenino...
Tyś bił wroga w Mont-Cassinie,
Ja zaś, szczęście takie miałem,
Los tak zrządził, że w Berlinie
Cios śmiertelny mu zadałem.
Jakie trudów naszych skutki?
Próżno myśleć, darmo dumać, –
Lepiej w szklanki nalać wódki,
Wypić wódkę... No i skonać.

SONNENBURG-WIĘZIENIE

Zrodziło je piekło i pycha szatańska
Na mękę, zagładę i zgubę ludzkości.
W tą groźną budowlę, zła hydra germańska
Wcieliła szaleństwo i zgrozę podłości.
Tysiące ludzi w tej kaźni więziono
Słowian, Romanów i Żydów z diaspory,
Których zabito i w piecach spalono,
Jako krwawego Molocha ofiary.
By pamięć o nich wiecznie się ostała
Z narzędzi tortur pomnik zbudowano:
„Zabitym w Stońsku wieczna pamięć, chwala –
Ludom memento” – na nim napisano.
W proch padła przemoc – przyszło wyzwolenie.
Przepadli kaci, oprawcy, łajdacy.
Zostało tylko Sonnenburg – więzienie
I w nim więźniowie... Polacy

DUMKA O ARMII KRAJOWEJ

Gdy zbrodni i krzywdy już było za wiele,
Ze zgliszcz i popiołów wichury dziejowej
I z kości poległych powstałi mściciele:
Żołnierze Armii Krajowej.
Swoją sztandar wolności wysoko rozwiali,
Miecz zemsty trzymając w dłoni.
I mężnych w Narodzie do walki wezwali:
Do broni Polacy! Do broni!
Za zbrodnie Kutschery i Franka z Krakowa,
Za Zamość, Lubelskie, Wawel i Majdanek
Wystawia wrogowi dziś Armia Krajowa
Swoją mściwą i krwawą rachunek.
Czy mróz tęgi mroził, czy grzała spiekota,
W dolinach czy w górach, czy wśród leśnych drzew,
Boje z wrogiem wiodła AK-owska piechota, –
W zaptacie za zbrodnie, wróg łał swoją krew.
Wileńskie powstanie, Warszawskie powstanie, –
Niech wróg w swej pamięci na zawsze zachowa
Niech wie, że za wolność nigdy nie przestanie
Walczyć i zwyciężać Armia Krajowa.
Potem w podziemie zejść mężni musieli,
Gdy przyszedł wróg inny, przyszła przemoc nowa,
To jednak wciąż żyją, nigdy nie zginęli, –
Wciąż żyje i działa Armia Krajowa.
Gdy na Wybrzeżu Naród bój rozpoczął
W pamiętnej rozprawie grudniowej,
Strachem rażony wróg na gardle poczuł
Nóż ostry Armii Krajowej.
Więc na nic kłamstwa, błaga gadzinowa,
Którą wróg Naród tumani.
AK ciągle żyje do czynu gotowa,
A duch jej w Narodzie hetmani.

LITANIA DO MATKI BOSKIEJ AKOWSKIEJ

Kyrie elejson, Kyrie elejson,
Chryste usłysz nas, Chryste wysłuchaj nas
Ojciec z nieba Boże, zmiłuj się nad nami
Synu Odkupicielu świata Boże zmiłuj się nad nami
Duchu Święty Boże zmiłuj się nad nami
Święta Trójco, Jedyny Boże zmiłuj się nad nami
Matko Chrystusowa módl się za nami
Wspomożenie wiernych módl się za nami
Opiekunko ludzkości módl się za nami
Opiekunko Rodziny Polskiej módl się za nami
Opiekunko Żołnierzy Armii Krajowej módl się za nami
Opiekunko aresztowanych módl się za nami
Opiekunko męczonych módl się za nami
Opiekunko Cichociemnych módl się za nami
Opiekunko walczących w akcji „Burza” i powstaniu módl się za nami
Opiekunko „Szarych Szeregów” módl się za nami
Opiekunko Lekarzy i Sanitariuszek módl się za nami
Opiekunko Kurierek i łączniczek módl się za nami
Opiekunko Młodzieży Polskiej módl się za nami
Opiekunko Akaczek i Akowców w konspiracji módl się za nami
Opiekunko prześladowanych Profesorów i Księży módl się za nami
Opiekunko Wojska Polskiego módl się za nami
Opiekunko walczących na barykadach módl się za nami
Opiekunko Akowców rozsianych po całym świecie módl się za nami
Opiekunko prawdy historycznej módl się za nami
Opiekunko Żołnierzy Armii Krajowej na wschodzie módl się za nami
Nadziejo Żołnierzy AK módl się za nami
Nadziejo cierpiących i rannych módl się za nami
Nadziejo konających módl się za nami
Nadziejo walczących w Gettach módl się za nami
Nadziejo obozów koncentracyjnych módl się za nami

Matko Boska Konspiracyjna	módl się za nami
Matko Boska Akowska	módl się za nami
Królowo Polski	módl się za nami
Królowo Pokoju	módl się za nami
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata	przepuść nam Panie
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata	wysłuchaj nas Panie
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata	zmiłuj się nad nami

My żołnierze Armii Krajowej rozsiani po całym świecie uciekamy się pod Twoją Obronę Święta Boża Rodzicielko. Naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych, ale od wszelkich złych przygód racz nas zawsze wybawiać Panno Chwalebna i Błogostawiona.

O Pani nasza, Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza, Pocieszycielko nasza.

Z synem swoim nas pojednaj, swojemu Synowi nas oddawaj.

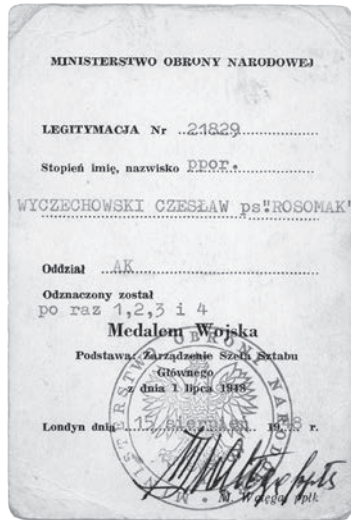
Módlmy się – Łaskę Twoją prosimy Cię Panie, racz wlać w serca nasze, abyśmy, którzy za zwiastunem anielskim wcielenia Chrystusa – Syna Twojego poznali. Przez mękę Jego i Krzyż do Chwały Zmartwychwstania byli doprowadzeni, przez Chrystusa Pana Naszego, Amen

Módlmy się za poległych, pomordowanych i zmarłych żołnierzy Armii Krajowej w konspiracji, w czasie Akcji „Burza” i Powstaniu. Módlmy się za zmarłych żołnierzy Armii Krajowej w obozach koncentracyjnych, w niewoli i w okresie prześladowań.

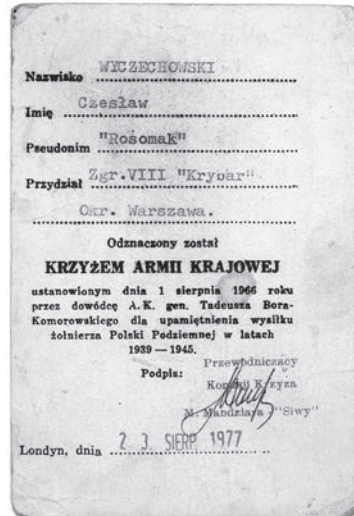
Tekst litanii ułożył ppor. AK Roman Sitkowski ps. Wiktor



Ilustracja i litania pochodzą ze zbiorów Heleny Radowskiej. Otrzymała je w liście od wdowy po żołnierzu AK zamordowanym w okresie stalinowskim.



Legitymacja Medalu Wojska, nadanego Czesławowi Wyczechowskiemu przez Rząd Polski w Londynie w roku 1948.



Legitymacja Krzyża Armii Krajowej nadanego Czesławowi Wyczechowskiemu w 1977 r. w Londynie

KRONIKA KOMUNISTYCZNEJ CODZIENNOŚCI



PRIMA VIVERE...

To opowieść rzeczywista,
Ani bajka, ani cud,
Jak żył jeden komunista,
Co chciał uszczęśliwić lud.

Marksistowskiej on nauki
Rzucił ludom zdrowy siew,
Pięścią zaciśniętej ręki
Ludów wzmagął święty gniew.

Gdy faszystów wraże syny
Najechały na nasz kraj,
Przeraziły go ich miny, –
W „szczęśliwości” uciekł „raj.”

Towarzysze go przyjęli
Do świetnego swego grona,
Potem w tiumnę go zamknęli
Poczytali, jako szpiona.

Znalazł jednak się ratunek,
Gdy już mało miał on sił.
Z tiumny puszczą, lecz warunek,
Że faszystów będzie bił.

Rzecz to całkiem oczywista,
Że on na to zgodę dał,
I nasz dzielny komunista
Tęgo potem fryców lał.

Wojna wreszcie ukończona
I skończony krwawy trud,
W świecie puszy się komuna
I szczęśliwy jest już lud.

Teraz dzielny komunista
Szczęsne życie będzie wieść
Lecz się spostrzegł, – oczywista,
Że aby żyć, trzeba jeść...

I tak siedzi przy kominie
Snując chudą życia nić,
I pomyślał, że w komunie
Komuniście ciężko żyć.

I tak dumął: Co za skutki?
Co on zdziałał? Co dokonał?
W końcu w szklankę nalał wódki,
Wypił wódkę. – No i skonał.

GRANICA*

Wrzeszczy radio, prasa krzyczy,
Pełno krzyku, pełno wrzawy,
Führer Niemców sobie życzy,
Dziś załatwić granic sprawy.

Do Warszawy z Bonnu miasta
Ministrowie przyjechali.
Łykli wina, zjedli ciasta
I z Gomułką pogadali.

Herr Gomułka, Sie gut Knabe,
Dobra chłopa, fajny człek,
Rozwiążmy granic Aufgabe,
Ty nam potem sprzedaj Speck.

Więc pomyślał tak Gomułka:
Wszak interes to jest śliczny,
Będzie w handlu dobra spółka
No i sukces polityczny.

Jeszcze trochę pogadali
Potem ostrzem długopisa
Traktat zgodnie podpisali,
Że granica Odra–Nysa

Jest przez Niemców już uznana.
Niech się co chce w świecie dzieje,
Będzie wzajem szanowana,
Póki... NRF istnieje.

* Przyp. red.: Układ graniczny pomiędzy Polską a NRF (Niemiecka Republika Federalna – dzisiejsza RFN) podpisany został 7 grudnia 1970 r. Niemcy uznali zachodnią granicę Polski przebiegającą na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Zgoda między narodami
Jest istotnie dobrym czynem,
Ale rozmawiać z Niemcami
Jest najlepiej karabinem.

Ilekróć w skórę dostali
Byli bardzo mili, grzeczni,
Hołdy Pruskie nam składali...
Jak Judasze niebezpieczni.

Lecz ilekróć sił nabrali
Skromność w butę zamieniali,
Traktaty wszelkie łamali
I nach Osten drangowali.

Zatem po co tyle wrzawy?
By się cieszył Willi Brandt?
Robić hecę z ważnej sprawy,
Z której zyska pruski frant?

Wszak granica Odra–Nysa
Jest pisana, wiemy o tym,
Nie koniuszkiem długopisu,
Lecz armatą i bagnetem!

ZHAŃBIONA FLAGA

Flago dumna, flago biało-czerwona!
Jesteś tak miła, kochana, –
Lecz czemu dziś jesteś zhańbiona?
Dlaczego twa duma zbrukana?

Zdobiłaś zwycięskie okręty bojowe
I sławne pobojowiska, –
Dziś... zdobisz rynsztoki gnojowe
I niecne cuchnące śmietniska.

Gdzie koń cię swą śliną oparska,
Samochód cię błotem obrzuci,
Chuligan cię nędzny osmarka,

Nie ważąc cię... pies w górę nogę podrzuci.
Wróg chcąc dokonać twej sławy zatraty
I zniszczyć dumę narodu,
Nadał ci rolę dekoracyjnej szmaty
I hańbi cię z tego powodu.

Nieszczęsną jest flago twa dola,
A los twój uległej wasalki,
Bo musisz ustąpić dziś pola
Dla wrażej czerwonej rywalki.

Lecz rosną bojowe zastępy młodzieży,
Które dni hańby twej skrócą. –
Na wzór grunwaldzkich zwycięskich rycerzy
Pogromią wroga i chwałę ci wrócą.

KONIUNKTURA

Wszystko zawszone – partia i lud –
Zawszeni politycy.
Na wszystkim strupy, parchy i brud –
Wszy łożą po ulicy.

Wszy na Gomutce, wszy na Bierucie –
Wszawicy wszystko żer.
Wszy oferuje światu obficie
Zawszony PPR.

Ruskimi wszami Polskę obdarzył
Wszawliwy Bierut nasz,
Bo z jego weską teraz się sparzył
Sowiecki jurny wszarz.

ZŁODZIEJ-DŻENTELMEN*

Zabił chłop raz wieprza, na strychu go schował,
A bojec sowiecki sało mu zworował.
Ze stoniną w worku wszedł do chłopca śmiało
I zawołał: Chadzaj! – kup ode mnie sało!
Nie kupię – chłop mówi – za grzeczność dziękuję.
Mam sało na strychu – nic nie potrzebuje.
Tak ładno-rzekł bojec – Do świdania chadzaj!
A worek ze sałem na plecy mi zadaj.
Kiedy chłop na strychu stwierdził brak stoniny
Łapał się za głowę, robił śmieszne miny
Mówiąc: Jako żywo, tego nie widziałem –
Draniowi stoninę swą na grzbiet zadałem.

* Przyp. red.: sało – stonina, chadzaj – gospodarz, bojec – rosyjski żołnierz, zworować – ukraść (z jęz. rosyjskiego).

CZORT-SAMICA

Raz bojec sowiecki w pobliżu cmentarza
Spotkał idącego drogą kominiarza.
Ty wierno czort jesteś – do niego powiada.
Śmiejąc się kominiarz – Tak, czort – odpowiada.
Ty szutki dziełajesz i ze mnie się śmiejesz. –
Kakoj że czort z ciebie? rogow nie imiajesz.
Bo ja w swym rodzaju jestem białogłowa,
Znaczy, po waszemu, samica czortowa.
Pomyślał tak bojec: Tego nie bywało –
Różne się samice w życiu mieć zdarzało.
W Giermanii Niemkinie, baby staroletnie,
Kobyły, korowy, dziewczonki nieletnie –
Różne ja samiec w życiu swoim miałem,
No z czorta samicą jeszcze nie gulałem.
Teraz się okazja szczęśliwie nadarza –
I długo nie myśląc zgwałcił kominiarza.

DUMKA O BRONIEWSKIM

I moje życie też przeszło po grudzie,
Ptasiego mleka ja także nie piłem,
Lecz zawsze w znoju ustawicznym trudzie,
Tak teraz żyję i tak dawniej żyłem.

Nie miałem szczęścia użyć manlichera
Lecz miałem szczęście, gdy śmierć ziała w koło
Walić seriami z mego mauzera
I zaciąć usta i też zmarszczyć czoło.

Podobna droga, te same nadzieje,
Kierunek – wolność przez los nam wytknięty...
Dziś z tego chochlik pod nosem się śmieje,
Bo cel nasz dotąd jest nieosiągnięty.

Walczyć o Polskę? – tak, ale o jaką?
Mawiałeś nieraz w gronie przyjacieli.
Nie chciałeś walczyć, na pewno, o taką
W której się strzela swych obywateli.

Patrz, co się dzieje! Cały pas wybrzeża
Zbroczyła rzeka polskiej krwi czerwonej,
Zbrodniczą ręką ubeckiego zwierza
Z piersi zgłodniałych ludzi wytoczonej.

Więc apel wnoszę do ciebie niniejszy:
Wstawaj Broniewski i wracaj z zaświatów! –
Wystrzelim dwie salwy naszych gniewnych wierszy
W plugawe twarze czerwonych psubratów.

DYMY NAD ŁODZIĄ

Daremne, poeto, twe pieśni i rymy, –
Nad Łodzią wciąż ścielą się dymy.
I w mieście, jak dawniej dymem czuć!
Głodna do pracy budzi się Łódź.

Zgrzyta maszyna i wali młot,
W niebo strzelają fabryk kominy.
Wychudły człowiek leje swój pot
I krew wypluwa, zamiast śliny.
Cuchnąca nora to jego dom
Na Chojnach drewniana rudera,
W której się zrodził i mieszka on,
I w której gnijąc, umiera.

Troska się w sercu iskierką tli, –
Z oczu spływają rześiste łzy.
Wiarę w komunizm do piekła rzuć!
Poznała prawdę fabryczna Łódź.

Ze krwi i potu są kupy złota,
Którym napycha walizy swe
Krasnych macherów podła hołota
Z pod ciemnej gwiazdy z pod K.C.
Robotnik za swój lud i pracę
Tysiąc ludowych otrzymuje
Miesięcznie z kasy, jako płacę
I nędznie w norce wegetuje.

Ciąży na sercu wola i moc, –
Więc gniewu żagiew ciśnij w noc.
Na gnębicieli odważ się pluć!
Dziś inna zbudziła się Łódź.

Wyruszył głodnych groźny tłum,
Żądając chleba i wolności.
W tyranów strzelił strachu grom
I znikli. – Jak duch nikczemności.
Nad Łodzią ciągle płynie dym,
Dym czarny, bury i niebieski...
I na nic twój poeto rym!
Czy słyszysz – panie Broniewski?

PAŁKA WOLNOŚCI*

Proszę towarzyszy i obywateli!

Dziś pierwszomajowe święto obchodzimy.

Więc niech się z was każdy raduje, weseli.

Niech je akademią należnie uczcimy.

 Policja burżujska czcić je przeszkadzała –

 Gdy wyruszał pochód i ktoś stłukł wystawę,

 To zaraz nieludzka go aresztowała

 I w sądzie burżujskim wytaczała sprawę.

Dzisiaj dzięki partii i władzy ludowej

Dzień Pierwszego Maja wolno jest świętować,

Dzięki rewolucji październikowej

Wolno się wam cieszyć, tańczyć i radować.

 Hurra! dla Lenina. Hip hip! dla Gomułki

 Niechaj żyje partia, wolności to podstawa!

 Konsumujcie wódkę, kiełbasę i butki –

 Niechaj gra muzyka! Niech szumi zabawa!

Tak to robotnicze święto się zaczęło:

Pochodem, graniem, ludową zabawą.

Lecz postuchajcie, jak się zakończyło:

Pałką wolności i masakrą krwawą.

 Mietek chuligan, chłop mocny jak koń,

 Zaśpiewał, bo wypił za dużo wódki:

 „Bagnet na broń, bolszewika goń”

 I z tego wynikły takie oto skutki:

* Przyp. red.: W okresie PRL dzień 1 maja celebrowano urządzając uroczyste, barwne pochody, w których uczestniczyła większość mieszkańców Stońska. Tego dnia odbywały się także zabawy ludowe w parku wiejskim, sprzedawano wódkę i kiełbasy. Wiersz opowiada o prawdziwym zdarzeniu z końca lat pięćdziesiątych. Aresztowany za „niekomunistyczne” zachowanie Mietek S. został odbity przez kolegów z posterunku milicji. Ówczesny komendant wezwał posiłki z Gorzowa. Milicja szukając Mietka rozbiła zabawę, przy okazji ucierpieli niewinni mieszkańcy wsi, jak np. kombatanat Węgrzyn, o którym mowa w wierszu.

Dwaj milicjanci Mietka zatrzymali
I na posterunek go poprowadzili,
Lecz w imię wolności zaprotestowali
Koledzy Mietka. I Mietka odbili.

Bunt! – rzekł komendant – Dzwonić do Gorzowa!
Niech ekspedycja karna tu się stawi,
Co ma rutynę z szkół Gołędzinowa
I z czarną reakcją niechaj się rozprawi

Ledwie minęła półgodzinna pora,
Dwa samochody do Słońska przybyły –
W nich milicjanci i psów-wilków sfera...
W mieście na trwogę syreny zawyły...

Milicjanci z psami w natarcie ruszyli –
W ruch poszły pałki i psów-wilków szczęki,
Psy gryzły w łydki, pałkarze w łeb bili –
Wkoło słychać krzyki, przekleństwa i jęki.

Mała dziewczynka strachem porażona
Płacząc, wołała ratunku od mamy.
Leżała na ziemi przez psa powalona,
Który jej szarpał twarzyczkę zębami.

Węgrzyn weteran miał skrwawioną brodę,
Na głowie guzy i na czole rysę,
Powiedział do mnie: „Panie, to w nagrodę
Za Wał Pomorski, za Odrę i Nysę”.

Mietek chuligan został pochwycony.
Zbity, skrwawiony, butami skopany
Leżał w milicyjnym wozie położony –
Nogi miał związane, na rękach kajdany

Taką to zabawę wtenczas wyprawiła
Władza ludowa dla Słońska ludności.
Ludność ulice swoją krwią zrosiła
W imię socjalizmu i pałki – wolność



Pochód pierwszomajowy, lata 60. XX wieku.

ZIEMIA JEST TWOJA

Chtopie!
Czemu porzucasz ziemię?
Niegodny ciebie to czyn.
Ona wydała twe plemię,
Ty prawy jesteś jej syn.

Ziemia ta świętą dla ciebie!
Rodzajna twym potem i krwią.
Broniłeś jej w każdej potrzebie
Walecznie; z odwagą lwią.

Twe mocne twarde prawice
Zbrojne ostrymi kosami,
Sprawiły wszak Ractawice,
Gdzie rozprawiłeś z wrogami,

Byłeś w uporze wytrwały,
Gdy wróg cię chciał ziemi pozbawić.
Mieszkałeś w wozie Drzymały,
Gdyś nie mógł chałupy postawić.

Lecz ziemi wrogom nie dałeś,
Nie zmoły cię żadne zakusy,
Na ziemi twardo swej stałeś,
Jak Ślimak z „Placówki” Prusa.

Dziś wróg cię podstępem wywłaszcza,
Nadmiernym podatkiem cię dusi
I ziemi twej plony przywłaszcza,
Lecz wytrwaj. –Wróg skonać musi!

PRUSOWE ŚLIMAKI*

W prezydium PRN podjęto uchwałę,
By w wiosce Chartowie spółdzielnię założyć.
I do dzieła tego społeczeństwo całe
Musi swej energii i trudu dołożyć.

A więc pracownicy i partii członkowie
Muszą swój czas wolny tej sprawie poświęcić –
W święta i niedziele muszą być w Chartowie,
Chłopów do kotłochozu wstąpienia zachęcić.

Dzielni aktywiści na Chartów ruszyli,
Mądrą propagandą lud uświadamiali,
Lecz niewdzięczni chłopci tylko z nich sztydziłi
I którym się dało... nawet lanie dali.

Więc propagandową akcję odwołano,
(Radni PRN-u tak postanowili)
I chłopów z Chartowa pisemnie wezwano
Aby do prezydium do Słońska przybyli,

Tu przewodniczący palnął chłopom mowę,
By wstąpienia w kotłochoz uchwałę przyjęli,
Bo kary czekają i sankcje surowe
Wszystkich oporników, wszystkich wicherzycieli.

* Przyp. red.: W latach 1948–1955 władze komunistyczne usiłowały doprowadzić do sołietyzacji społeczeństwa polskiego m.in. poprzez próbę kolektywizacji rolnictwa. Dążono do odebrania chłopom ziemi i utworzenia wzorowanych na radzieckich spółdzielni rolniczych. Silny opór polskich chłopów sprawił, że sukcesu nie odniosły próby sterroryzowania chłopów, celowo zawyżane podatki czy działania propagandowe. W utworze „Prusowe Ślimaki” autor nawiązuje do opisanej przez Bolesława Prusa walki polskich chłopów z Komisją Kolonizacyjną w zaborze pruskim.

Sześćdziesięciu chłopów na sali stłoczono –
Deklaracje wszystkim zostały rozdane,
I trzymać ich w sali dotąd oświadczone,
Aż te deklaracje będą podpisane.

Poprzez całą dobę w zamknięciu tym trwali,
A kiedy nazajutrz salę otworzono,
Chłopi deklaracji tych nie podpisali; –
Więc ich, volens nolens, do domu puszczono.

Bez asenizacji chłopci w sali byli.
Wyobraźcie sobie, co też tam się działo? –
Przez dwa dni fekalia stróże wynosili
I troje sprzętaczek myło szorowało.

ZEBRANIE

– SZOPKA LUDOWA W JEDNYM AKCIE*

Osoby:

1. Przewodniczący – dobrze odżywiony, w średnim wieku jegomość.
2. Kierownik – młody jeszcze człowiek. Swój niski poziom intelektualny stara się pokryć używaniem słów, których znaczenia nie rozumie.
3. Sekretarz POP – starszy, rubaszny typ.
4. Aktywista – typ lizusa i donosiiciela.
5. Mateusz – stary robotnik.
6. Bolek – robotnik.
7. Frącak – robotnik.
8. Antoni – robotnik.
9. Józek – robotnik.
10. Katarzyna – robotnica.
11. Chochoł.

Scena przedstawia typową świetlicę zakładową. Na ścianie z lewej wisi duży portret Lenina, a obok niego po lewej i po prawej mniejsze portrety Gomułki i Cyrankiewicza. Dużo dekoracji z czerwonego płótna i papieru. Przy ścianie pod portretem Lenina stoi stół prezydialny, przy którym siedzą: przewodniczący, kierownik POP, aktywista i protokolant. Na stole papiery i ołówki. W głąb na prawo ustawione ławy, na których siedzą robotnicy zakładu, chudzi, brudni, nieogoleni, ubrani w zniszczone kufajki i gumowe buty. Palą „Sporty” i gwarzą.

PRZEWODNICZĄCY (WSTAJĄC)

Towarzyszki i towarzysze...

* Przyp. red.: Cechą „nieodłączną” komunistycznej codzienności były niekończące się zebrania partyjne, w czasie których przekonywano, że jedyna wówczas mogąca istnieć partia – PZPR działa wyłącznie w interesie robotników i chłopów, a wszelkie niedostatki to wynik przejściowych problemów lub knowań imperialistów. Buntujących się robotników starano się przekonać obietnicami lub drobnymi prezentami.

MATEUSZ

Co proszę? – nie słyszę.

PRZEWODNICZĄCY

Powiedziałem: towarzyszy i towarzysze,
I dalej powiadam, że proszę o ciszę,
A teraz wypełniam ja swoje zadanie
I otwieram niniejszym niniejsze zebranie.
Towarzysze, bo powiem wam jeszcze na razie
Że idąc po linii i idąc po bazie,
Że idąc po wytycznych Marksa i Lenina
I potępiając despotę Stalina,
Dochodzimy już teraz do socjalizmu,
A wkrótce my dojdziemy, aż do komunizmu.
I na tym ja teraz na razie przestaję
I głos dla kierownika towarzysza daję.

PRZEWODNICZĄCY SIADA – KIEROWNIK WSTAJE.

KIEROWNIK

Proszę towarzyszy! Niech każdy uważa,
Bo to co teraz powiem, raz na rok się zdarza.
Otóż odgórnie już ustaliliśmy,
Że roczny plan nasz dziś wykonaliśmy.
A gdy następne plany wykonamy,
To już Amerykanów w produkcji dognamy.
Gdy do większego wysiłku się jeszcze zmusimy
To rzecz już pewna, że ich wyprzedzimy.
A teraz przechodzę na sprawy miejscowe
I przekazuję wam „loco” Lakowe.
Nasz zakład leży źle „geograficznie”
Zatem palenia wzbrania się „krytycznie”
Humanitarnie my w święto majowe
Zorganizuję się w szyki wojskowe,
Nikt pojedynczo z was nie będzie chodził...

FRĄCAK

Otwórzcie okno! – bo Bolek nasmrodził.

BOLEK

E, tak jakoś fanzoli.

KIEROWNNIK

„Humanitarnie” pójdziemy na trawę,
I tam urządzim ludową zabawę
A teraz oddaję głos naszemu POP-u
Wszystkim znanemu i fajnemu chłopu.

KIEROWNNIK SIADA, WSTAJE SEKRETARZ POP.

SEKRETARZ POP

Proszę towarzyszy! Nie trza długiej gadki,
I zapytam krótko: Jak tam stoją składki?
W Komitecie centralnym jest to uchwalone,
Że składki członkowskie muszą być płacone,
Kto składki zalega, to niech się nie leni,
Niech do kasy biegnie, sięga do kieszeni,
Niechaj szybko płaci i niech nic nie zwleka,
Bo na to grosiwo matka partia czeka.
To „perspektywy” są to takie nasze,
No i o dyskusję towarzyszy proszę.

POP SIADA, WSTAJE PRZEWODNICZĄCY.

PRZEWODNICZĄCY

Teraz towarzysze, gdy już wszystko wiecie
Chcemy od was słyszeć, co na to powiecie.
Otwieram dyskusję. Niech każdy do woli
Powie nam odważnie wszystko, co go boli.
Przewodniczący siada. Nastaje długa, kłopotliwa cisza, nikt nie
chce zabierać głosu nie dlatego, aby nie miał nic do powiedzenia
lecz z obawy aby swoją niewłaściwą wypowiedzią nie narazić się
kierownictwu zakładu i przedstawicielom partii i nie zasłużyć na
represję z ich strony.

AKTYWISTA

Proszę śmiało cni obywatele!
Przecież do mówienia jest tematów wiele.
Ot na przykład trzeba trochę chęci włożyć
I socjalistyczne brygady potworzyć.

MATEUSZ

A nam jeszcze po co taka komedia?
Niech je sobie tworzy ta nasza partya.

ANTONI

Ja chciałem coś powiedzieć wedle oświetlenia
No i się domagam tego wyjaśnienia.
Czemu to żarówki w dzień nam świecą jasno
dlaczego w nocy wszystkie one gasną?
ZNOWU, JAK POPRZEDNIO DŁUŻSZA CISZA.

PRZEWODNICZĄCY

Proszę towarzysze! Bardzo ja was proszę!
Niech każdy wypowie coś jeszcze po trosze.

BOLEK

Ja tam nie będę owijał sprawy w bawetnę
I powiem, że nasze wychodki są pełne.
I że przecie wszyscy dobrze wiedzą o tym,
Że nasze kobiety kucają pod płotem.
A smród z tego wielki, że aż w nosie ryje
To może sprowadzić nam epidemiję.

JÓZEK

To ja jeszcze powim, proszę mi darować,
Że już naszych wózków nima czym smarować,
Tak piszczą i skrzypią, że słuchać niemiło
I przez to potrzeba nam nadrabiać siłę.

AKTYWISTA

Ja sobie radzę w takiej to biedzie
Bo kto smaruje, ten dobrze jedzie.
Smarować wózki pewnie, że trzeba
I je smaruję szmalcem od chleba.

KATARZYNA

Jak sobie radzić w te ciężkie czasy?
Gdzie można kupić taniej kiełbasy?
Bo drogiej można czasami dostać,
Lecz przecież na nią nas wcale nie stać.

AKTYWISTA

Takie pytanie! Toż łapie śmiech pusty!
Były wczoraj w sklepie parówki z kapusty.
Pięćdziesiąt złotych kilo. Sam w kolejce stałem,
Lecz późno przyszedłem i nic nie dostałem.

ANTONI

Niechże i ja złożę swoją pretensyję:
Kiedy nam podwyższą tę naszą pensyję?
Bo tu na zakładzie ciężko robić trzeba,
Zdała by się jakaś omasta do chleba.
I po cienkiej zupce, towarzyszu miły,
Trudno jest wytrzymać, – robić nie ma siły.

PRZEWODNICZĄCY

Dobre towarzysze, nasze jest gadanie,
Ale lepiej mówcie coś o naszym planie.

MATEUSZ

Toć my o tym wiemy, towarzysze pany
Że my tak bez przerwy wykonuję plany.
Wyrabiamy dużo dobra wszelakiego,
Ale za to kupić nie można niczego.
W sklepie zawsze pustki, w rzeźni nagie haki,
Wszystko to nie warte ni łąta tabaki.
Bardzo jestem ciekaw, chociaż jestem stary
Gdzie się podziewają te nasze towary?
Bo coś niecoś kupić człeku się przygodzi...

BOLEK

A idą do Łodzi, tam gdzie słońce wschodzi!

PRZEWODNICZĄCY (WSTAJĄC ENERGICZNIE)

Dosyć towarzysze! Nie czas perorować!
Czas kończyć dyskusję i ją podsumować.
Poruszane były ważne mankamenty,
Ale były także i wrogie momenty.
Najwięcej zawinił towarzyszu Mateusz!
Niczym oczajdusza, niczym faryzeusz.

Wygadywał tutaj rzeczy obraźliwe.
Za to jutro pójdzie na egzekutywę...

MATEUSZ

Panie towarzyszu, nie boję się kary,
Wszystko mi tam jedno, bo już jestem stary.

PRZEWODNICZĄCY

Czy się nie boicie! – jutro zobaczymy
Teraz siedzieć cicho uprzejmie prosimy.
Odpowiem wam teraz na te wszystkie dane,
Które w protokole są zanotowane.
Otóż towarzysze, w tegorocznym planie,
Jest jeden punkt ważny, zwie się oszczędzanie.
Dlatego to w nocy nie świecą żarówki
Dlatego jeść trzeba z kapusty parówki.
I jeśli tak dalej oszczędzać będziemy,
To do komunizmu tym prędzej dojdziemy.
A wtedy nastaną takie dobre czasy,
Że na płotach będą wisiaty kiełbasy.
Zaplanuję także w przyszłorocznym planie,
Że cztery wychodki wasz zakład dostanie.
I żeby pod płotem baby nie kucaly
Dwa damskie ustępy będą swoje miały,
Dwa inne dla chłopów będą przeznaczone
I dwoma kótkami pięknie ozdobione.
Temu, co narzeka na swoją pensję,
To odpowiem krótko: Niech więcej pracuje!
Jak więcej produktów który z nas wyrobi,
To rzecz przecież jasna, że więcej zarobi.
To jest bardzo ważny, bardzo kardynalny
Stosowany u nas bodziec materialny.
A na inne braki, powiedzieć wystarczy
Jest wypróbowany sposób gospodarczy.
Jak kto dobrze pomysłowość dobrze zastosuje,
To nawet i wózki posmaruje.

Rząd i partia nasza trudzą się niemało,
By się świata pracy i wam dobrze działało.
Ale są przeszkody wielkie i rozliczne,
Różne gospodarcze, różne polityczne,
Kłody nam pod nogi podrzucają dranie
Niemcy i Anglicy i Amerykanie.
Musimy walczącym udzielać pomocy.
Dzielnym Wietnamczykom trzeba dać słońcinę
A braciom Arabom trzeba dać koninę,
Żeby zdrowi byli, żeby silni byli
I Izraelczyków do nas nie wpuścili.
By Amerykanie w swój sposób zdradziecki
Nie zaatakowali nasz Związek Radziecki
Przodującą w świecie pokoju ostoję.
Oto perspektywy i wasze i moje!
Teraz towarzysze, dygresja mała
Będzie wam podana prezydium uchwała
Zgodna z wytycznymi Wiestawa Gomułki:
Każdy z was otrzyma kiełbasę i butki.
Za plan wykonany dobrze i szczęśliwie
Oprócz tego dodam wam po jednym piwie.
Zwracając się do sprzątaczk i nocnego stróża, którzy przynieśli
koszyki z butkami, kiełbasą i piwem:
Pięć deko kiełbasy, dwie butki i piwo
Na każdego człeka proszę wydać żywo.
Smacznego życzymy, na wszelki wypadek,
My do kierowniczk idziem na obiadek.
Na sali burzliwe oklaski. Członkowie prezydium poważnym kro-
kiem opuszczają salę. Robotnicy zadowoleni krzyczą:
Brawo! Brawo! Dziękujemy!
Dobrze sobie dziś podjemy!
Tłumnie podchodzą do koszy i odbierają z rąk sprzątaczk kieł-
basę i butki, a od stróża piwo. Niektórzy jedzą i piją na miejscu,
inni chowają kiełbasę i butki do kieszeni kufajek i po wypiciu piwa
szybko wychodzą. Sala powoli pustoszeje. Po wyjściu ostatniego
robotnika na salę zza pieca wychodzi chochoł. Chwilę rozgląda się

po sali, następnie siada za stołem prezydyjnym i śpiewa:
Chociaż: Wyklęty powstań ludu ziemi!
Powstańcie, których gnębi głód,
Dzisiaj kielbasą nakarmieni,
A jutro – niewolniczy trud.
Do góry sztandar wznies czerwony
Tytanie, w którym drzemie gniew.
W gruzy waliłeś kiedyś trony,
Szedł z tobą Marsylianki śpiew.
Bastylię kiedyś w proch skruszyłeś
Zna sławny Kronsztad cały świat
Mocny zwycięski wtedy byłeś,
Jak straszny, gniewny boży bat.
Dlaczego drzemiesz dziś olbrzymie?
Dlaczego marny żywot twój?
O dawnym zapomniawsz czynie, –
Czemu nie zrywasz się na bój?
Na bój ostatni bądź gotowy,
Niech twierdzą stanie każdy dom!
I zrób porządek świata nowy,
W czerwonych katów ciśnij grom!

KONIEC – KURTYNA



Pracownicy tartaku w Stońsku, lata 60.

MAJDANEK

Zabłytnął brzask i nastał poranek,
Wnet toczą się kloce i zgrzytają piły.
To tartak W Słońsku przezwany Majdanek
Pije pot ludzki i wysysa siły.

Wychudły człowiek z sił prawie wyczuty
Pcha wózek drewna ciężkiego; –
Ruska kufajka i gumowe buty,
To cały modny strój jego.

Garb ma na plecach wyrosty z trudu,
Na ustach klątwy wulgarne
Codzienne życie wśród nędzy i brudu
Bezmyślnie pędzi on marnie.

Zmęczone ręce normy wyrabiają,
I wykonują ustalone plany, –
Premię pieniężną za to otrzymają
Miejscowe kacyki i z rejonu „pany”.

A on robotnik z wysiłku garbaty,
Za znojnej pracy swej miesiąc
Otrzyma z kasy tytułem zapłaty
Złotych ludowych... aż tysiąc

Na śmierć za dużo, na życie za mało,
By przeżyć miesiąca czas,
Jak chcesz kombinuj, na nic to się zdało,
Zatem... na wódkę w sam raz.

We wszystkich polskich wioskach i gradach
We dnie wieczory i ranki.
Brzęczą kielichy w ludowych gospodach
I jęczą znojne Majdanki.



Pochód pierwszomajowy, 1954 r. – pracownicy tartaku w Stońsku

BUMERANG

Do Związków Zawodowych:

Drodzy związkowcy, mili towarzysze!
Rozpatrzenie tę sprawę i uczynienie zadość,
Skażcie kierownika „Kabakę” Kutyszę
Zróbcie sprawiedliwość i w zakładzie radość.

Kierownik Kutysza przezwany Kabaką
Nie płaci nam premii, nie płaci nadgodzin
I cała załoga naszego tartaku
Nie ma czym wyżywić swych zgłodniałych rodzin.
Rękawice nasze, to dziura na dziurze,
Od okaleczenia rąk naszych nie chronią
Pełno drzazg i ranek w naszych palców skórze,
Nie możemy ruszyć obolałą dłońią.

Obowiązków różnych nakłada nam wiele,
Bo plan wykonywać nasze jest zadanie,
Każe nam pracować nawet i w niedzielę.
Lecz słusznej nagrody nam nie płaci za nie.

Wnosimy tę skargę, pełni w sercu wiary,
Że porządek wreszcie zrobicie z Kabaką
I gnębiel ludu nie uniknie kary.

Z wielkim poważaniem:
Załoga tartaku.

Do załogi tartaku:

Kolektyw związkowy podjął zgodne zdanie,
Że Kutysza waszym tartakiem rządzący
Za występki swoje dostał ukaranie
Dobrze zasłużoną grzywną dwóch tysięcy.

Więc cieszcie się teraz, drodzy towarzysze!
Przebadano fakty, dowody rzeczowe,
Ukarano drania „Kabakę” – Kułyszę
Ślemy wam: Cześć pracy!

Związki Zawodowe.

Do Ob. Kułyszcy:

Niskie koszty własne mając na uwadze
Dyrekcja Rejonu wypowiada zgodę,
By kierownikowi Kułyszcy koledze,
Za rentowną pracę wypłacić nagrodę.

Sześć tysięcy złotych i dyplom uznania
Za wydajność pracy, przekroczenie planu,
Cześć pracy Kułyszcy i uszanowania

Zasyła niniejszym:
Dyrektor Rejonu.

W POGONI ZA TŁUSZCZEM*

Dużo gwaru, dużo szumu,
Jedna drugiej po kryjomu
Szepcze w ucho: Proszę pani,
Jest na Górcie szmalec tani.
Proszę pani, już pędzimy
I po kilku zakupimy.
Wola każda zadyszana:
„Kilo szmalcu, proszę pana!”

Nie ma, mówi pan sklepowy,
Jutro będzie przydział nowy,
A ten dzisiaj otrzymany,
Całkowicie rozprzedany.

Nie ma szmalcu odrobiny...
Chodźmy kupić margaryny!
Lecz choć cały dzień biegały
Nigdzie tłuszczu nie dostały.
A wtem słyszają: Proszę pani,
Beczka śledzi jest u Frani!
Więc biegnijmy! Już pędzimy
Kilo śledzi zakupimy.

Już są wszystkie w sklepie Frani.
Kilo śledzi, proszę pani!
Każda krzyczy, każda gada
A Frania tak odpowiada:

* Przep. red.: Komunistyczna codzienność to także kłopoty z zaopatrzeniem i kolejki w sklepach. Aby wykarmić rodzinę trzeba było żywność (a szczególnie mięso) „wystać” w kolejce. Zdarzało się, że towaru było zbyt mało i ostatni kolejkowicze, mimo godzin oczekiwania, nie kupili nic. Czasem do sklepu „rzucano” zupełnie niespodziewany towar, dlatego zakupy przypominały trochę polowanie...

Otrzymałam, rzecz prawdziwa,
Zamiast śledzi, beczkę piwa.
Piwo dobre, piwo zdrowe,
Zbrakowane eksportowe.
Śledzie moje miłe panie,
Nie ujęte są dziś w planie,
Bo z śledziami różnie bywa...
Radzę wypić kufel piwa.

Jeszcze trochę się swarzyły,
Potem piwo zakupiły,
Piją piwo, gadu gadu,
A mężowie bez obiadu.

Głodny Polak jest gniewliwy
W rękoczynach popędliwy,
Więc, gdy w dom wrócili panie
Od mężów dostały lanie.

Jaką zła znaleźć przyczynę?
Kto ponosi za to winę?
Czyżby żony? Czy mężowie?
Może z państwa ktoś odpowie.

VIVAT MERCURIUS!

Jest rzeczą brzydką szkaradną,
Gdy ludzie kradną.

W świetlicy skradli zastonę,
W kościele skradli ambonę,
Dyrektor gruby spasiony
Zdefraudował miliony...
Tak wszyscy kradną.

Trybunę naszą paradną
Jutro złodzieje ukradną...

Urzędnik bierze łąpówki,
Szewc ukradł w sklepie zelówki,
A robotnicy w tartaku
Ukradli kilka smolaków...
I tak wciąż kradną.

Milicja jest już bezradną,
Bo wszyscy i wszystko kradną.

Mleczarz dla swojej wygody,
Do mleka dolewa wody,
Sklepiarz kradnie na wadze,
Kominiarz znów, ukradł sadze...
Tak kradną, kradną i kradną.

Nie wstrzyma ich siłą żadną,
Bo z biedy oni tak kradną.

Kradną co się da w fabrykach,
Są manka w wszystkich sklepikach.
Ktoś z płotu ściągnął koszulę,
Milicjant ukradł cebulę...
Polskę rozkradną!

TO JEST WYROK!*

Chłop jeden, Peterek, mieszkał sobie w Stońsku,
Gdzie miał gospodarstwo sześćohektarowe.
Opornie nie spełniał swego obowiązku,
Zalegał dostawy kontyngentowe.

Więc na kolegium Peterka wezwano,
Na które ze strachem chłopak ów się zgłosił
I kolegalnie go tam ukarano
Grzywną w wysokości pięćdziesięciu groszy.

Przy tym warunki były postawione:
(Aby dokuczyć owemu chłopinie)
Po groszu dziennie muszą być wptacone,
Owe pięćdziesiąt – w banku w Sulęcinnie.

W razie warunków tych niewypełnienia,
Gdyby chłop dalej chciał stawać oporem –
Grzywnę zamienia w pół roku więzienia
Z natychmiastowym, kolegium, rygorem.

Sześćdziesiąt kilometrów dziennie on Peterek
Przez dni pięćdziesiąt do banku drałował,
Środek lokomocji – miał stary rowerek,
Na którym, jak sportsmen dzielnie pedałował.

* Przyp. red.: Kontyngenty – obowiązkowe dostawy żywności. Po załamaniu się produkcji rolnej w latach 50. wprowadzono „dostawy obowiązkowe”, zwane przez chłopów pamiętających okres okupacji niemieckiej, kontyngentami. Najpierw wprowadzono planowy skup zboża, następnie obowiązkowe dostawy zbóż i ziemniaków, a od roku 1952, mleka i zwierząt rzeźnych. Rolnicy, którzy nie wywiązywali się z obowiązkowych dostaw byli straszani i karani, zdarzały się osadzenia w więzieniach. Z tego powodu wielu osadników rezygnowało z pracy na roli i wyjeżdżało z „Ziem Odzyskanych”. Dostawy obowiązkowe ostatecznie zostały zniesione dopiero w roku 1972.

Kiedy wreszcie pokutę odprawił,
Chęć gospodarowania dalszego poniechał.
Na pastwę losu domostwo zostawił –
Rzucił gospodarkę – Do Gdańska wyjechał.

BRZYDKI WYRAZ*

Raz Kostek Żubera komunistą nazwał –
Za to Żuber Kostka na kolegium pozwał.
Żuber członek partii czynny aktywista,
Obraził się mocno, że jest komunista.
Kolegium Żubera skargę rozpatrzyło
I taką Kostkowi karę zasądziło:
Zapłacić w gotówce kwotę trzech tysięcy,
Lub siedzieć w areszcie całe sześć miesięcy.
Kostek forsy nie miał i skąd wziąć nie wiedział
Więc półroczny okres w więzieniu odsiedział
Pointa stąd prosta, jasna i przejrzysta,
Że jest wciąż niemiły w Polsce „komunista”
Nawet aktywistom, co w partii działają,
Bo za „komunistę” mocno się gniewają.

* Przyp. red.: Utwór opowiada prawdziwą historię pokazującą schizofreniczny charakter PRL-owskiej rzeczywistości. W państwie oficjalnie do komunizmu dążącym, za nazwanie członka partii komunistycznej „komunistą” można było zostać ukaranym...

Z HISTORIĄ NA OPAK

Uczył się w szkole trzynaście lat,
Dziś chwila dlań uroczysta,
Złożył egzamin i rusza w świat,
Ma dyplom. – Jest maturzystą.

Raz z maturzystą tak rozmawiałem
Siedząc pod lipą na ławie,
Sukcesów w życiu mu winszowałem
Po plecach klepiąc łaskawie:

Powiedz młodzieńcze, – (wszak ty go znasz)
Rzetelnie i w sposób ludzki,
Co zrobił wielki bohater nasz,
Marszałek Józef Piłsudski?

Oto odpowiedź na to gotowa:
Piłsudski w sposób zdradziecki
Z hordami swymi wszedł do Kijowa,
Napadł na Związek Radziecki.

Za to historia potępia go
W sposób rzetelny, niezbity. –
Nie czynił dobra, lecz samo zło,
Dano mu miano bandyty.

Do wojen był bardzo skory
I chętnie chodził na bój, –
To wielki Stefan Batory.
Co o nim wiesz chłopcze mój?

Już wiem, już w głowie mi świta...
W Pskowie on w sposób zbójcecki
Napadł na Związek Radziecki
I też był wielki bandyta.

Ludów swoich pan dobry,
Lecz straszny na zdrajcę i wrogi,
To Bolesław, król Chrobry, –
Co o nim powiesz mój drogi?

Prowadził żywot zbójcecki,
On piękny Kijów splądrował.
Napadł na Związek Radziecki
I naszych braci mordował.

PRZEMIJANIE



DESZCZ

Ciemny wieczór, pada deszcz.
Zimny mnie przejmuje dreszcz.
Słyszac wiatru smętne jęki.
Jak czyścicowych dusz udręki.
Jak by stado wilków wyło...
Słuchać strasznie i niemiło...

Za oknami pada deszcz.

W izbie ciepło, ćwierka świerszcz
Wiejskiej chaty dobry wieszcz.
Ogień z piecem szepce, gada,
Kotek bajkę opowiada,
Dziadek fajkę ćmić zaczyna
Siadłszy sobie u komina,

A na dworze pada deszcz.

W głowie utkwil mi, jak kleszcz
Ten jesienny zimny deszcz...
Już wieczera ukończona,
Dziatwa do snu ułożona,
W końcu wszyscy w domu śpią.
Ja się trapię myślą swą,

Że na dworze pada deszcz...

JESIEŃ

Hej! – jesień na polskie pole spadła...
Klucze żurawi na wyraj suną,
I z babim latem tęsknica siadła
Na sercach ludzkich smutkiem, zadumą.

Dym się z ogniska po ziemi wlecze,
Czernią się skiby w polach zoranych –
Mały pastuszek ziemniaki piecze
W ogniu wznieconym z tęt kartoflanych.

Ciągną się pługi, rosną zagony –
Wnet oracz ziarno w nie rzuci.
Niech Bóg mu zrodzi stokrotne plony
Niech go niedola nie smuci.

I dąb staruszek dotąd w zieleni
Zżółkł i ostonił niby kożuchem,
Spadły liśćmi swoje korzenie
Przed mroźnym zimy podmuchem.

Znosi orzeszki zwinna wiewiórka
Do dziupli zhubiałej sosny,
Ściele w niej trawy i ptasie piórka –
Będzie tam spała do wiosny.

Piękna jest jesień na polskiej ziemi,
Czar rozpościera, myśli rozmarza
I bogatymi plonami swymi
Ludzi na zimę obdarza.

TROIES FUIMUS...

Upojną rumbę z nią zatańczyłem
Na balu w oficerskim klubie,
Potem do domu ją odprowadziłem,
I o tym wspominać dziś lubię.
 Na imię miała: Piękna Genowefa
 I właśnie z tej to przyczyny,
 Pisałem dla niej (dawna wspomnień strefa)
 Taki to wierszyk na jej imieniny:
„Gdy władca Apollo w złocistym rydwanie
Dwukrotnie wyminął słupy Gibraltaru,
Wzniósł rękę, a na to słudzy i dworzanie
Zamilkli. I cisza nastąpiła miast gwaru.
 I rzekł bóg: Boginie i elfy me dzieci!
 Nasz przelot następny, który rozpoczniemy,
 Stanowiąc będzie styczeń dzień już trzeci,
 Który z należą czią spędzać będziemy.
Ziluminować niebo! Niechaj grają elfy!
Niech błyszczą gwiazdy i Luna!
Głoście, że jutro święto Genowefy!
To rzekłszy runął w krainę Neptuna.”
 A dzisiaj Genia? – Babcią starą pewnie.
 Rumby już z nikim nie tańczy,
 Włóczy nogami, postępuje rzewnie
 I grono swych wnucząt niańczy.
Bo dużo lat już przeszło od tej pory
A wiosen trzydzieści sześć...
Że ja do wspomnień jeszcze o niej skory?
Eh! Cóż tam Genia... pal że ją sześć.

DO SIOSTRY

Wspominam nie raz dni mego dzieciństwa...

Było nas czworo: dwóch braci miałem

I jedną siostrę, którą z rodzeństwa

Zawsze najwięcej kochałem.

Gdy grały surmy, poszliśmy w boje.

Bracia polegli, ja z wojny wróciłem.

Z czwórki rodzeństwa zostało nas dwoje:

Ja i ma siostra, za którą tęskniłem.

I choć przeszliśmy trudy i znoje,

I choć nas dzieli daleki świat,

Pamiętaj siostro, że jest nas dwoje...

Za Tobą tęskni twój brat.

NA CMENTARZU

Gdy smutek mą duszę owładnie
W dzień smutny, jesienny ponury,
Swe kroki kieruję bezładnie
Na cmentarz. By spojrzeć na mogił sznury.

Tysiące mogił, pomników i krzyżów szeregi dokoła...
Ten znany, a tamten nieznany
Do mnie z pomnika woła
Napisem. (Choć napis często zamazany)
I prosi o Zdrowaś Maryja przechodnia.

Ja idę i patrzę i siła jakowaś
Pociąga mnie naprzód, jak gwiazda przewodnia.
Więc szepczę: umarli, niech wam będzie „Zdrowaś”...

Aż stanę nad grobem mego przyjaciela
Podumam i rzeknę: Śpij serdeczny druhu.
Potem odwiedzam grób nauczyciela
I czczę go w zadumie stanąwszy w bezruchu.

Aż w końcu tam, gdzie rosną dwa drzewa
Wyroste z korzenia, jak zgodne bratanki
Gdzie chwasty i łopuch w nasieniu dojrzewa
Staję i dumam nad grobem kochanki.

I mówię: Czesławo, choć od wielu laty
Nie jesteś wśród żywych i leżysz w tym grobie
Choć szczęście zabrałaś i poszłaś w zaświaty
Ja wiersz ten dziś piszę z pamięcią o Tobie.

ZADUSZKI

Listopad smutny i pełen zadumy, –
Liść pada pożółtki i zgniły...
Na cmentarz zdążają tłumy.
By uczcić swych bliskich mogiły.

Palą się świece nagrobne,
Wiatr miecie liśćmi suchymi, –
Ludzie swe modły żałobne
Ślą za tych, co legli już w ziemi.

W żałobnym misterium bierny udział brałem,
Nie mając wśród zmarłych ni bliskich ni krewnych.
Oparty o drzewo zadumany stałem,
Pełen wspomnień dawnych, pełen myśli rzewnych.

Lecą myśli moje, jak ptaki skrzydlate
Do tych, co padli w potrzebie wrześniowej.
Co życie swe dali broniąc Westerplatte
Do tych, co szczęśli w wicherze dziejowej.

Do tych, co padli pod Monte Cassino
I tych, co leżą w pustynnym Tobruku,
Do tych z Katynia i tych spod Lenino
I tych z mrocznego, mroźnego Narviku.

Do partyzanckich mogił wśród lasów rozsianych,
Do wszystkich poległych dla Ojczyzny sprawy.
I do was chłopców, mych drogich, kochanych,
Coście polegli na gruzach Warszawy.

Wyście polegli, ja tułam się żywy,
I stoję pełen o was rzewnych myśli,
Daremny trud nasz, święty i prawdziwy...
Nie doszliśmy tam, dokąd szliśmy.

Cóż więc wam powiem, w serdecznym słowie
I w myślach rzewnych, które do was lecą?
Że o was pomnę, mili druhowie, –
Niech wiersz ten będzie dla was moją świecą.

SURSUM CORDA

Byłem na Jasnej Górze, –
Cudowny Obraz widziałem.
Tak oto wtenczas dumałem:

O dawnym Szwedów zalewie,
Co kraj nasz swym butem zdeptali
I w szale pysze i gniewie
Na Klasztor zbrojnie nastali.

O dzielnej Chramu obronie
Przed niecnym napadem szwedzkim,
O cudach Matki w Koronie,
I mężnym przeorze Kordeckim.

I o Kmicicu zuchwałym,
Co się z niesławy oczyścił
I krzyżem tu leżał struchłały, –
I srogą bombardę zniszczył

Plącze się myśl ma zbłąkana,
Za gardło chwyta rozczula...
Wszak ludzie ci mieli Hetmana
I mieli swojego króla.

A cóż ja? – żołnierz włóczęga
Żyjący wśród ludzi, bez celu, –
W mym kraju obca potęga,
A Wódz mój spoczywa w Wawelu...

W tym słyszę słowa kaptana:
„Królowo Polski, módl się za nami.”
Skruszony zgiąłem kolana
I oczy zaszyły mi łzami.

Oczyrna zaszyły mi łzami
Patrzę i wielbię Władczynię.
I wiem już, że pod Jej rządami
Na pewno Polska nie zginie.

DZIED-DOM

Nic się nie martw mój staruszk,
Choć nić życia twa znikoma.
Ty nie umrzesz w własnym łóżku,
Wracz cię weźmie do dzied-doma.

Będziesz robił tam koszyki
Lub w ogrodzie chwasty pielit.
Za swawolę lub wybryki,
Lub gdyś sobie podgrymolił

Będziesz siedział w kabarynie.
Poznasz życia tam wygody,
I nie powiesz Katarynie,
By cię w dom wiodła z gospody.

A gdy będziesz kiedy chory,
Wracz uzna bólu przyczynę
I natychmiast w owe pory
Przepisze ci on rycynę.

Wódki nie da mi kieliszka,
Choć byś konał, choćbyś zdychał,
Choćbyś mówił: ślepa kiszka
Boli w brzuchu. Źle oddychał

Nie uwierzy mi na jotę.
A chorować wtedy będziesz,
Kiedy skończysz swą robotę.
Wtedy spocznieś i usiądziesz.

Gdy żywota już dokonasz,
Skończysz z życiem namacalnym
Spocznieś, jak się sam przekonasz,
Na cmentarzu komunalnym

I postawią ci nagrobek
I wypiszą słowa na niem:
„Tu spoczywa dzied – parobek
całujcie go w duszę. Amen”.

WESELE

U Bondara jest wesele,
Rzecz wspaniała – jako żywo!
Postuchajcie przyjaciele,
Jak tam wtenczas piłem piwo:

Wita gości Bondarycha
I za stołem grzecznie sadzi
Bondar daje im kielicha
– Sto gram wypić nie zawadzi.

Stoły pięknie postawiono,
Na nich bigos, z gęsi sos,
„Wódków”, „piwów” nastawiano
I „kietbasów” cały stos.

Pałą sporty, wódkę piją,
Zagryzają każdy łyk,
Niechaj młodzi sto lat żyją!
To jest awans! To jest szyk!

Tańczą pary – gra muzyka,
Wacek w trąbę mocno dmie
Wuj Matusik w tan pomyka
Trzęsie garbem śmiejąc się.

A przy stole się rozpiera
Dymem dmucha, pałac sporta
Wdzięczna postać cabaliera
Adalberto de Cuorta.

Tańcem wreszcie są zmęczeni,
Trzeba spocząć aby żyć,
Trzeba przegryźć kęs pieczeni
Porozmawiać, no i pić.

Więc przy stołach znów gromada
Bigos „wtraja” wódkę pije –
Jak biesiada, to biesiada!
Niech nam Bondar sto lat żyje!

Rozmowy są prowadzone
Na poziomie tak, jak „trza”
Owidiusza mowę zna.

Starszy družba tak zagaja:
Jak raz – krzywa – proszę was
Na pierwszego – krzywa – maja
Z babką – krzywa – poszłem w las.

Lecz dokończyć mu nie dano,
Bo się zrobił wrzask i pisk –
Gdzieś się o coś szamotoło
I pan młody dostał w pysk.

Słychać krzyki: Lej go w tego!
Wal go w mordę – krzywa – fest!
I bonanza na całego
U Bondara w domu jest.

Nie wiem co się potem działo –
Wacek z trąbą przestał grać –
Pogotowie przyjechało –
Ja do domu ruszam spać.

SPIS TREŚCI

Wspomnienie o moim ojcu	5
Na przyzbie	13
Skradziony piorun	20
Zew krwi	22
Ballada o Zamku Ostrogskim	25
Płomień życia	31
Gdy nocą budzą się upiory	46
Tam straszy...	49
Modlitwa trupojadów	50
Optymista	53
Rzecz o Nodze	57
Batalion Nieśmiertelnych	58
Koń i samolot	60
Biwak	61
Czekam na znak	62
Dumka o Powstaniu Warszawskim	67
Baśka	69
Zagłada placówki na Oboźnej 1 w dniu 9 września 1944 roku	71
Do starego wiarusa	73
Sonnenburg-więzienie	74
Dumka o Armii Krajowej	75
Litania do Matki Boskiej Akowskiej	76
Prima vivere...	81
Granica	83
Zhańbiona flaga	85
Koniunktura	86
Złodziej-dżentelmen	87
Czort-samica	88
Dumka o Broniewskim	89
Dymy nad Łodzią	90
Pałka wolności	92

Ziemia jest twoja	95
Prusowe Ślimaki	96
Zebrańie – Szopka ludowa w jednym akcie	98
Majdanek	106
Bumerang	108
W pogoni za tłuszczem	110
Vivat mercurius!	112
To jest wyrok!	114
Brzydki wyraz	116
Z historią na opak	117
Deszcz	121
Jesień	122
Troies Fuimus...	123
Do siostry	124
Na cmentarzu	125
Zaduszki	126
Sursum corda	128
Dzied-dom	130
Wesele	132

